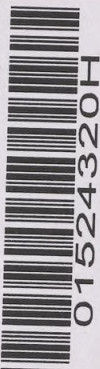




**TYGODNIK
NARODOWY**
ILUSTROWANY

Rocznie (52 zeszyty) **9** koron. Półrocznie **4** kor. **80** hal.
Kwartalnie **2** kor. **40** hal. W ajencjach prenumerata kwartal-
nie **2** kor. **70** hal. Pojedynczy numer **24** hal. Abonament
do Francyi, Ameryki, Król. Polskiego i Rosyi tylko półrocznie
koron **8**, rocznie koron **16**.

Wydawnictwo „Tygodnika Narodowego“,
w Krakowie, ul. Wiślna 2. Konto czekowe 112 905.



„Tygodnik Narodowy“ wychodzi co niedzielę. : : :
Przedpłatę rocznie 9 kor., półrocznie 4 kor. 80 hal.
 ćwierćrocznie 2 kor. 40 hal. — należy przesyłać na ręce
Administracji „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie,
 ul. Wiślna 2. (biuro M. Hupczyca). — W agencjach na
 prowincji prenumerata kwartalnie 2 kor. 70 halerzy.

Ogłoszenia: Od wiersza I-lamowego petytem 30 hal.
 Przy większych i częstszych ogłoszeniach odpowiedni rabat.

W Krakowie przyjmuje ogłoszenia wyłącznie biuro Marjana
 Hupczyca ul. Wiślna 2.

Konto czekowe poczt. kasy oszczędności No. 112 905.

Biuro Dzienników MARYANA HUPCZYCA

Kraków, ul. Wiślna 2 - Telefon 340

przyjmuje prenumeratę oraz ogłoszenia
 do wszystkich dzienników.

Wielki wybór artystycznych kart z widokami.

L. 10.
 Męski ankr. remontoir.



Kor. 3,90.

z portretem Kościuszki, Mickiewicza lub z godłem polsk.
 bardzo dobrze idący na min.
 wyregulowany. Na żądanie
 wysyłam darmo i oplatnie
 katalog ilustr. zegarów, zegarków,
 wyrobów jubilerskich, chińsk. srebra, przyborów,
 narzędzi zegarmistrzowskich i towarów mu-
 zycznych 46

F. Pamm, Kraków, Zielona 103

Rocznik XIV.

„RODZINA I SZKOŁA“

z dodatkiem
 naukowym

„WIEDZA I PRACA“

Rok 1909.

Pismo, poświęcone domowemu i szkolnemu wychowaniu młodzieży, dalszemu kształceniu nauczycielstwa oraz szerzeniu i popularyzowaniu wiedzy.

„Rodzina i Szkoła“ jest najtańszym pismem pedagogicznym polskim.

„Rodzinę i Szkołę“ z dodatkiem naukowym „Wiedza i Praca“ poleca galicyjska c. k. Rada szkolna krajowa we Lwowie, reskryptem z dnia 22. marca 1904 l. 10. 299 do wszystkich bibliotek nauczycielskich szkolnych i okręgowych w Galicji a śląska c. k. Rada szkolna krajowa w Opawie reskryptem z dnia 22-go marca 1908 l. 2162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na Śląsku oraz bukowina c. k. Rada szkolna krajowa w Czerniawcach reskryptem z dnia 22. marca 1908 l. 2. 162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na Bukowinie.

Rodzinę i Szkołę z „Wiedzą i Pracą“ oznaczono listem pochwalnym na wystawie przyrodniczo-lekarskiej i higienicznej we Lwowie w roku 1907 oraz na wystawach „Dziecko“ w Wilnie i higienicznej w Lublinie w roku 1908.

„Rodzina i Szkoła“ jest pismem szczerze polskim i katolickim.

Prenumerata „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ kosztuje rocznie 8 Mk., półrocznie 4,50 Mk. — Zeszyt pojedynczy „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ 0,50 Mk.

Numera okazowe wysyła na żądanie otwartą pocztą i oplatnie oraz również przyjm. prenumeratę wprost Administracya „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie (Galicya) ul. Szeptyckich 1. 68 (Gmach Sokoła II-go.)
 Prosimy żądać numerów okazowych kartą korespondencyjną, podając dokładnie adres (imię i nazwisko, miejscowość i pocztę ostatnią.)

Roczniki z 1904, 1905, 1906, 1907 i 1908 są do nabycia w Administracyi „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie ul. Szeptyckich 1. 68 po cenie: zbroszurowane 6 Mk., oprawne 7 Mk. (bez porta) za rocznik „Rodziny i Szkoły“ z rocznikiem „Wiedzy i Pracy“.

BALSAM aptekarza THIERRY'EGO

Naśladownictwo prawnie wzbronione.

Prawdziwy jedynie z zakonnicy, jako marką ochronną.

Niezawodny środek przeciw wszelkim chorobom piersi i płuc, leczy kaszel, flegmę, chrypkę, zapalenie gardła, kurcze żołądka i wszelkie bóle żołądkowe, zapalenie wszystkich organów wewnętrznych, brak apetytu, złe trawienie, zatwardzenie; zewnętrznie leczy wszelkie choroby ust, ból zębów i oparzeliny, darcie w kościach, wyrzuty, przedewszystkiem influenzy. 12 małych, lub 6 dużych podwójnych, albo jedna wielka flaszka do podróży K. 5.

MAŚĆ CENTYFOLIOWA aptekarza THIERRY'EGO

jedynie prawdziwa, zadziwiający, nie-
 hybny i niezrównany środek przeciw-
 astarzałym nawet ranom wrzodom,
 ranieniom, zapaleniu, chorobom nóg,
 ropieniu, wyciąga wszelkie obce ciała
 i usuwa ropnik, zapobiega bolesnym
 operacyom. Dwie puszeki K. 3,60.

Zamówienia do Apteki pod Aniołem Stróżem
 A. THIERRY w Pregrada koło Rohitsch. 45



Allein echter Balsam
 aus der Schutzengel-Apotheken
 des
 A. Thierry in Pregrada
 bei Rohitsch-Sauerbrunn.

Jan Ihnatowicz

poleca

BAY-RUM używa się ze znakomitą skutkiem do mycia
 i utrzymania w czystości skóry na głowie.
 Flakon 80 hal. i 1.60 kor.

KAPTOLINA przeciw wypadaniu włosów. Flakon 2 kor.
 OLEJKI fiołkowy, rezedowy, jaśminowy, różany, mille-
 fleurs. Flakon 1 kor.

POMADA LITEWSKA wpływa korzystnie na włosy,
 posiada zapach przyjemny i nie jełczeje. Słoik 1 k
 PUDR NA WŁOSY biały, do czyszczenia i pudrowania
 włosów. Pudełko 60 hal.

PUDR POPIELATY I ŻÓŁTAWY do upiększenia wło-
 sów. Pudełko 1 kor.

LWÓW — ul. Sykstuska 25 i ul. Hetmańska 6.

KRAKÓW — Sukiennice 20.

PRZEMYŚL — Mickiewicza 11.

TYGODNIK



ILUSTROWANY NARODOWY

Głos podniosły.

Zabór austriacki przeżywa obecnie chwile bardzo poważne. Zmiana ministrów nastąpiła obecnie dla tego, że Koło Polskie nie zezwoliło na bagatelizowanie żądań kraju i nie dopuściło do zaprzepaszczenia sprawy kanałowej. Runęło ministerstwo, co chciało łamać sankcyonowane ustawy. W skład nowego gabinetu weszli ci wysłańcy Koła Polskiego, co poprzedni gabinet usunęli. Rozpoczęła się gra zakulisowa o prezesurę Koła Polskiego: użyto rozmaitych środków i półśrodków, byleby jeno zdobyć regimentarstwo Koła. W prasie i rozmowach wysunęło się ciekawe zagadnienie, kto jest lepszy: ministrowie czy posłowie?

Wśród rozlicznych głosów opinia *Wojciecha Wiacka*, posła ziemi tarnobrzskiej do parlamentu:

„Którzy są lepsi? Posłowie czy ministrowie?”

Ministrowie, jako urzędnicy państwowi, muszą być wierni państwu i monarsze; bywają do czasu wierni stronnictwom politycznym, które ich na posłów do Rady państwa wybrały; ale bywają także konwulsyjnie wierni tej władzy, jaką posiadają, aby się nie rozłączać z wpływami i tem wszystkim, co im, jako ministrom, stoi na usługi wobec mniej szczęśliwych, choć często więcej zaśluzonych.

Posłowie, jako przedstawiciele państwa, krajów, i narodów, muszą być wierni interesom narodu i obywateli, zwłaszcza tych stronnictw, które ich wybrały w myśl programu politycznego, jaki stronnictwo uważa za najkorzystniejszy dla państwa, kraju lub narodu; bywają wierni swoim obowiązkom poselskim: bywają, co się trzymają także konwulsyjnie tego mandatu, który im ma sprowadzić, przy protekcji ministrów, nie zasłużone, choć pożądane osobiste nagrody w różnych formach; bywają orderzy i tytuły; posady i dostawy; balu i prezenty; bywa także pomoc z fun-

duszów państwowych taka, że państwo zaciągnie pożyczkę na procent po 4 proc., a udzieli do pomocy pożyczkę na procent 2 proc., zaś różnicę 2 proc. zapłaci lud z podatków!

Minister, który przy władzy i wpływach, i poseł, który przy mandacie i owych osobistych widokach, chcą się utrzymać, w lot się zwąchają, odczuja i połączą kosztem interesów kraju i ogółu obywateli i to jest największe zło w ustroju konstytucyjnym. Ministrowie rozporządzają funduszami, składanymi z podatków przez obywateli państwa — a nie swoimi i przy pomocy tych to funduszów zawierają potajemne układy z posłami dla wzajemnych osobistych widoków, ale nie państwa i nie ogółu obywateli.

Niech traci, kto ma co do stracenia; niech się kłótnie i niezgody w państwie wzmagają; niech się szerzy ucisk, nędza i brak zarobku z jednej, a demoralizacja, marnowanie publicznych funduszów i wyzysk z drugiej strony, aby tylko ich osobiste widoki były zaspokojone. Naprawdę bardzo to przykry widok, patrząc i słysząc to wszystko wśród tego ciągłego wrzenia i przeróżnych intryg!

A kraj, a wyborcy wierzą w tych ministrów i posłów i zbawienia doczesnego od nich się spodziewają.

Największe zgorszenie i rozdwojenie i walki ze stronnictwami, chętnymi do pracy dla dobra kraju w Kole polskiem są robione przez tych, którzy są ministrami, przez tych, co byli i przez tych, co gwałtem pragną być ministrami. Ci ostatni więcej są rządowymi, aniżeli rząd tego wymaga; cały czas myślą i wyszukują różne środki, aby się rządowi przypodobać; niech nawet zginie kraj, naród, społeczeństwo, byleby się przypodobać rządowi i Niemcom. Ta zaraza wielkopolityczna idzie od samych ministrów, zaraża wielu posłów, zaczadza im głowy wielką polityką i czyni szkodliwymi dla wyborców. Posłowie nie biegli na te wszystkie wybiegi ministrów, są nieraz tak oślepieni, że niektórzy w najlepszej

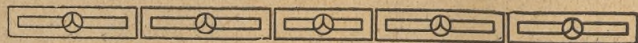
wierze ludzą siebie i swoich wyborców, ale tacy, spostrzegłszy zawód, wnet jeszcze się cofną i dobra kraju pilnują. Lecz owi, co to z ministrami w bliższe konszachty weszli, na wiecach, gazetami, listami, obietnicami w różnej formie przed wyborcami jak mogą tak się chwalać, że to wszystko dla dobra kraju i zjednywają zaufanie, które im się nie należy. Okłamywanie takie bardzo szkodzi przede wszystkim przez to, że się wypacza konstytucja i parlamentaryzm, które wytworzone z tyłu idei narodowych, sił ducha, przelanej krwi i poświęcenia życia ludzkiego dla zbawienia pokoleń, przestają służyć dla dobra narodów a zaczynają służyć dla dobra jednostek, jakich świat nawet znać nie powinien — a ty narodzie płac podatki i znoś wszystko cierpliwie.

Taki stan rzeczy mógłby się czasem zdarzyć, jak różnie bywa na świecie, czemu przewidzieć i czemu zapobiedz nie można; ale żeby się miał pojawiać coraz częściej lub trwać stale, to na to społeczeństwa zdrowe, uczciwe i patriotyczne nie powinny pozwolić; lecz społeczeństwa powinny być znowu naprawdę takimi; spełniać swoje obowiązki; uświadamiać się o prawach i obowiązkach i wiedzieć przede wszystkim, że od posłów i ministrów ma się prawo żądać należytego i uczciwego spełniania ich szczytnych urzędów lub im poparcia i zaufania odmówić.

Największe i najświętsze w tym względzie obowiązki mają posłowie polscy, którzy ciągle winni mieć przed oczami nieszczęśliwy stan naszej ojczyzny, w jaki ją pogrążyli tacy właśnie ministrowie i posłowie, jakich nigdy i nigdzie być nie powinno, co stojąc na żołdzie moskiewskim i pruskim dla korzyści tych państw wrogich a swoich osobistych widoków, dobro ojczyzny zdradzali i zatracili, a na jej ruinach sami porastać zaczęli.

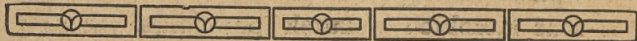
Pesymizmem przepełniony jest głos jednego z najdzielniejszych naszych włościan-obywateli, jednej z najczystszej i najpiękniejszej postaci współczesnego ruchu narodowego w Galicyi. Przecie dużo w nim racji i doświadczenia życiowego, zaobserwowanego bezpośrednio w Wiedniu.

Jednego jeno Wojciech Wiącek nie dopowiedział: że ani ministrowie, ani posłowie życia narodu nie tworzą. Idzie ono samo, tem korytem, jakie robi samo mimo wszelkie utrudnienia zewnętrzne lub wewnętrzne niedomagania. I dlatego możemy mieć żal i pretensje czy do ministrów czy do posłów, ale nie wolno nam zapominać, że najmocniejszym regulatorem stosunków własnych jest sam naród o ile on jest spoisty i skonsolidowany nie sprowadzi go nikt na manowce.



Wciąż jeszcze można nadsyłać przedpłatę na Tygodnik Narodowy; kto tego nie uczynił jeszcze, niech uczyni pośpiesznie, bo czas ostatni. W przeciwnym razie narazi się na wstrzymanie ekspedycji Tygodnika.

Przedpłata wynosi: rocznie 9 kor.; półrocznie 4 kor. 80 hal.; kwartalnie 2 kor. 40 hal.



Sursum corda!...

Rozpoczęliśmy nowy rok zmagania politycznych i ekonomicznych, podjęliśmy dalszy ciąg wyjąających zmagania codziennych i walk o byt narodowy. Nie słabnie walka, jak nie słabnie napór na nas, czy ciągle wyszukiwanie nowych ataków lub represji: dzieje się to na całym obszarze Polski, a my, żyjący w zaborze austriackim, w tej jednej dzielnicy, gdzie nasze prawa narodowe są szanowane, gdzie zażywamy względnej swobody w rozwoju kulturalnym, w życiu społecznym i w ruchu ekonomicznym, możemy wprowadzić z pewną otuchą spoglądać na dotychczasowe wyniki naszej polityki narodowej, jakoteż narodowej pracy organicznej w okresie autonomicznym nad podźwignieniem naszego kraju z zacołania straszliwego i upadku ekonomicznego pod wpływem stuletnich rządów niemieckiej biurokracji. Zrobiono dużo — i gdzie spojrzymy, wszędzie postęp znaczny: w zakresie ochrony zdrowia fizycznego ludności, na polu oświatowym, w dziedzinie rozwoju rolnictwa, przemysłu i handlu, rozwoju środków komunikacji, rozwoju miast, kultury wiejskiej, a wreszcie widzimy niewątpliwie znaczniejsze niż dawniej ożywienie w zakresie literatury, sztuki i umiejętności. Każdy z wymienionych tu różnorodnych działów życia kulturalnego, ma u nas swoich zwolenników i przewodnich pracowników, wybijających się zamięłowaniem przedmiotu i zdolnościami na czoło swoich szeregów, wszędzie widzimy organizacje — cele usiłowań roztropnie obmyślane, jasno i stanowczo określone.

W roku, który rozpoczęliśmy, święcimy pięćdziesięciolecie ery konstytucyjnej. I skoro uprzymiemy sobie, chociażby najpobieżniej, walki naszej reprezentacji narodowej w Wiedniu z Niemcami i z wewnętrznymi przeciwnikami w kraju o zdobycie pewnej swobody ruchów i znaczenia politycznego dla narodu dołskiego w państwie,

do którego los nas przydzielił — owe ciężkie przejścia i zawody, napotykanie na tej drodze, pełne zawiści intrygi i inne różnorodne trudności, jakie pokonać było trzeba, to z zadowoleniem możemy spoglądać na drogę przebytą. Kierownicy bowiem polityki polskiej spełnili swój obowiązek obywatelski gorliwie i sumiennie.

Podobnie jak element polski rozwinął się i wzmocnił organicznie w Galicyi w erze konstytucyjnej przez szkołę, przez uświadomienie obywatelskie mas szerokich wskutek powołania ich do czynnego udziału w życiu publicznym, tak też wzmocnił się także element ruski. Różne, wrogie nam postronne wpływy: wpływy biurokracyi niemieckiej w imię zasady „divide et impera“, wpływy wszechrosyjskie, a wreszcie socjalizm, rzuciły się skwapliwie na kwestyę ruską, ażeby ją wyzyskiwać dla swoich celów — przeciwko Polakom. Pełne chwały wspomnienia kilkuwiekowych wspólnych dziejów, interesy teraźniejszości, również wspólne Polakom i Rusinom z tej i z tamtej strony kordonu, a wreszcie dążenie do swobody na przyszłość — także wspólne, gdy jednych mamy wrogów i jednych przyjaciół — wszystko to wskazuje obu narodom drogę zgody. — Lecz niestety rzeczywistość przekonuje, że do tego daleko. I właśnie rok ubiegły doprowadził zatargi polsko-ruskie do najwyższego naprężenia. To stronnictwo ruskie, które uważa rozdmuchiwanie w młodzieży i w masach ludu wiejskiego zawziętości i zawiści ku Polakom, za największy atut w swojej grze politycznej, ma teraz w obozie stronnictw ruskich największe znaczenie i najsilniejszy wpływ. Wichrzenie w kraju pod hasłem strajków rolnych celem wygłodzenia Polaków na

wsi, krwawe awantury na uniwersytecie i dzikie sceny, wyprawiane w sejmie — to najwyższy wyraz polityki „narodowej“ ukraińofilów galicyjskich. Są oni dumni z tych awantur... Wszakże nie taką drogą dobijają się narody do znaczenia i potęgi. To też nikogo dziwić nie może uczucie gorczy, jakie ogarnia każde serce prawe wobec tego zgubnego rozpanoszenia się namiętności partyjnych, owych tanich tryumfów agitatorów niesumiennych, którzy sięją wiatr, aby w kraju burzę rozplenić, a w tej burzy wybić się osobiście na przewodnie stanowiska, do znaczenia „herojów“ narodowych.

Stosunki i położenie Polaków za kordonem nie zmienione. Na pozór żywiołów hakatystycznych i napozór wpólniemieckiej biurokracyi rosyjskiej pod firmą rosyjskiego nacjonalizmu — nie ustaje i nie słabnie. Ale coraz więcej występuje na jaw oznak, które wskazują, że doprowadzone przez Bismarcka do najwyższej siły naprężenia hasło: „Ausrotten“ wobec narodowej i społecznej odporności Polaków słabnie. Nie pora oddawać się optymistycznym uniesieniom. Położenie naszych braci w zaborach pruskim i rosyjskim jest ustawicznie bardzo smutne. Ale jakkolwiek wiele smutków gnębi nasz naród, przywykły zresztą do najtwardszej doli, chociaż mamy wrogów i licznych i potężnych, chociaż oni ze wszech stron nacierają na nas z niesłabnącą zawziętością, lecz w tym ogniu hartują się nasze siły, odporność nasza narodowa wzmacnia się z roku na rok, a to napawa nas przekonaniem, że doczekamy się sprawiedliwości i zwycięstwa naszych narodowych idei. Sursum corda!...

N. G.

Po dniach zwycięstw i chwały.

(Wspomnienie historyczne.)

Dzień 18 grudnia 1809 roku radosem był świętem dla Warszawy, najradośniejszym dniem może, jaki stolica polska przeżyła w ciągu dziełtnastego stulecia... Wracała do Warszawy część wojska polskiego, część walecznych zastępów naszych, które wyruszywszy przed ośmiu miesiącami w kilkutysięcznej sile pod Raszyn, na spotkanie pięćkróć silniejszego nieprzyjaciela, rozchodziły się teraz po stoczeniu licznych bitew i potyczek, zpod starożytnego Krakowa, na zimowe leże, jako zwycięska, sławą okryta, czterdziestotysięczna armia.

Tak niezwykle w dziejach wojennych wzrost walczących zastępów, wśród samej zawieruchy bojowej, jest wspaniałym świadectwem patryotyzmu, ofiarności i poświęcenia ówczesnego społeczeństwa polskiego, a zarazem daje miarę, jak radosne uczucia musiały napępniać serca polskie, wobec pomyślnych wyników, wieńczących tę ofiarność i poświęcenie.

Pomimo zawodu, przyniesionego przez pokój, zawarty w Schoenbrunnie, przecież armia wracająca na zimowe leże, prócz wawrzynów chwały, niosła widoczne owoce swojego męstwa i poświęcenia, gdyż, dzięki jej waleczności, niepodległa naówczas część Ojczyzny wzrosła nieomal w dwójnasób. Księstwo Warszawskie zajmowało teraz całą tę przestrzeń ziemi polskiej, na której za dni

naszych mieści się południowa część Prus zachodnich, Poznańskie, Kongresówka i Wielkie Księstwo Krakowskie.

To też wszędzie witano radośnie powracające hufce walecznych, a już najradośniej w Warszawie. Uczucia, jakich doznawali mieszkańcy stolicy, najlepiej odzwierciedla, skromna zresztą w stylu i powściągliwa *Gazeta Warszawska*, która w 101 numerze, z dnia 19 grudnia 1809 r., tak opisuje te uczucia:

„Dzień 18 grudnia wiecznie będzie pamiętnym w kronice stolicy kraju naszego; oglądała bowiem dnia tego powracającą w swe mury część zwycięskiego wojska narodowego. Wiele już dni świetnych pamięta Warszawa, ale nie widziała świetniejszego po owym przed stu przeszło laty dniem, kiedy nasz wielki król Jan III z okrytem chwałą rycerstwem z wyprawy wiedeńskiej do niej powracał. A tak dzień wczorajszy odnowił w prawnukach te wszystkie miłe i wielkie uczucia, jakie ów dzień w naszych wzbudzał naddziadach. Tego nam jedynie do zupełności równych im uczuć nie dostawało, żeśmy na czele powracających mężnych naszych wojowników nie mieli szczęścia tego oglądać, który ich tak chwalebnie do zwycięstw prowadził. Jakże zaś uczucia malowały się na twarzach wszystkich mieszkańców z oglądania obrońców naszych, ten tylko wyobrazić sobie może, kto był świadkiem, lub sam nimż przenikniony“.

Warszawa od dni kilku przygotowywała się na przyjęcie upragnionych gości. U wyjścia z miasta na ówczesny plac „Trzech krzyżów“, ustawiono bramę tryumfalną. Na jej frontonie od strony, z której wojsko przybyć miało, błyszczały słowa: *Wodzowi i wojsku zwycięskiemu wdzięczni obywatele*. Poniżej umieszczono nazwiska miejscowości, wslawionych świeżo odniesionemi zwycięstwami, jako to: *Raszyn — Grochów — Góra*. Po bokach odmalowano popiersia hetmanów: Chodkiewicza i Tarnowskiego.

Po drugiej stronie od miasta umieszczono popiersia Stefana Czarnieckiego i Zamoyskiego Jana, powyżej nazwisk miasta: *Sandomierz — Zamość — Kraków*, a u góry na frontonie znamienny w owej chwili napis: *Tędy z pod Wiednia powracał Jan III*.

Ośmnasty grudnia 1809 roku zajaśniał nad Warszawą piękny, pogodny, i, jak na tę porę, niezwykle ciepły. Zdało się, że przyroda nawet bierze udział w tem radosnem święcie.

Już o świcie liczne, a różnobarwne tłumy podążyły ku Mokotowu, naprzeciw zbliżającego się do stolicy wojska. O godzinie dziewiątej rano

dotychczasowa załoga warszawska i gwardya narodowa uszykowały się po obu stronach ulic i Krakowskiego przedmieścia i Nowego Świata aż do tryumfalnej bramy, z orkiestrami na czele. Za ich szeregami zaroily się tłumy ludu, a okna i balkony domów zajęła pleć piękna: „której lice — jak się wyraża *Gazeta Warszawska* — tyle jaśniały z radości, ile zasępione były od smutku w owych dniach, kiedy nieprzyjaciół gospodarował w stolicy.

Eustachy Smiałowski.

(Dokończenie nastąpi.)



Czem jest walka życiowa.

Jeżeli zechcemy zastanowić się nad istotą życia, to musimy przyznać, że jego pierwszą i najgłówniejszą cechą jest walka.

Longfellow, poeta angielski, powiada: „Na szerokiem polu walki światowej, na biwaku życiowym, nie bądź jak to nieme, poganiane bydelko; bądź bohaterem w życiu“. I rzeczywiście powiedzieć można, że od pierwszego płaczu dziecka w ramionach matki, aż do grobowej deski, życie jest nieustanną walką z różnemi przeciwnościami losu.

Gdy naprzykład człowiek, z konieczności rzeczy, wstępuje w świat przemysłowy, to i na tym terenie spotyka się z tą samą prawdą: życie jest walką!

Nowoczesne słowo „konkurencya“, mieści w sobie idee życia, jako podatny grunt do walki. Niejeden „król“ przemysłu powie wam, że choć konkurencya przysparza dużo klienteli, to jednak jest ona przyczyną wielkich walk moralnych i fizycznych, wielkich wysiłków i zabiegów.

W kołach politycznych dzieje się podobnie. Cokolwiek uczciwego może się gnieździć w dzisiejszej polityce, zdobyte zostało walką i zwycięską wyższością sumienia, szlachetnością pobudek jednostek nad pożądlivością kręactwa i oszustwa. Mówimy o naszej politycznej walce, jak gdyby ona była czemś nowem, lecz ścieżka historii znaczone jest porażkami starych i przestarzałych idei, a każde wejście na nowe tory znaczy się walką!

Życie jest gonitwą za szczęściem!

Stajemy do walki wyścigowej, ażeby zwyciężyć. Sposoby tej walki zależą od naszej etycznej



Artur Grottger.

Przysięga.

wartości; nie osiągamy celu niejednokrotnie, bo wstrzymuje nas największa przeszkoda w walce... sumienie! W nieskończonej gorączce różnych naszych ideałów na polu wiedzy, sztuki, wynalazków itd.,

walka jest tym niepokojem człowieka, który gna go po świecie, każe mu spędzać noce bezsenne, bo walczący duch ludzki niema nigdy spokoju i ukojenia.

Niemiecki poeta, Goethe, gdy nadeszła jego ostatnia godzina, rzekł: „Byłem tylko dzieckiem, zbierającym kamyczki na wybrzeżach życiowych wielkiego oceanu. Tych parę nazbieranych — jest jakby niczem w porównaniu do tych, które tam pozostają“. I wzniosłszy oczy do góry, zawołał: „Światła, więcej światła...“ Z temi słowy zasnął na wieki.

Jest chluba być uznanym zwycięzcą w jakiegokolwiek dziedzinie życiowej, lecz największym ze wszystkich bohaterów, to ten, co zwycięża walkę z sobą samym. W osiągnięciu cech prawdziwego charakteru, ludzie przychodzą do najlepszych i najszlachetniejszych zwycięstw. Dobrze jest dla każdego człowieka, gdy w ekstazie radości, widząc, że słowa jego są w harmonii z prawdą, — gdy więc z całą dumą i świadomością tej prawdy, powiedzieć może: „zwyciężyłem w mojej walce!“

Lecz najwyższym szczyblem duchowej wartości człowieka, jest walka z tem, co łamie w nim najświętszy obowiązek, to jest wiarę w Boga. Całym wysiłkiem woli i duszy powinien człek strzedz i walczyć o to najświętsze prawo, bo kto je rzuca pod nogi i depce — ten nie wart nosić miana człowieka!

Stowarzyszenia a wesołość życia.

W dawniejszych czasach, przed rozwinieniem się wielkiego przemysłu, większa niż dzisiaj panowała wśród ludzi wesołość; robotnicy śpiewali czy to przy pracy w polu, czy przy warsztatach, członkowie cechów obchodzili solennie święta Patronów swoich, wieśniacy ucztowali na zakończenie każdej pracy polnej; na jarmarkach biesiady ułatwiały wszelkie kupna i zawieranie umów.

W miarę rozwoju przemysłu zmniejsza się wesołość pracowników: nie słyhać dziś śpiewów na polach, ani gwizdania wesołego w zakładach przemysłowych. Twierdzić można, że wskutek wprowadzenia maszyn, wogóle wskutek rozwoju przemysłu praca stała się mniej męczącą, ale za to stała się więcej ponurą.

Tem się może tłumaczy owo gwałtowne w dzisiejszych czasach poszukiwanie rozrywek, które mają za cel pobudzenie wesołości. Im więcej praca jednostek, czy to praca ręczna, czy umysłowa stała się jednostajną, monotonna i prosta,

tem różnorodniejsze wyrastają potrzeby w kierunku rozrywek.

Jest to objaw zastraszający, albowiem rządza rozrywek prowadzi do rozpusty i ponadto przynosi szkody ekonomiczne, a jedno i drugie w skutkach swych nie wyradza pogodnej wesołości.

Jakżeż tedy rozstrzygnąć zawikłania społeczne, powstające ze wzrastającego ujednolajnienia pracy i ze wzrastających pożądań rozrywek?

Jest jedno słowo czarodziejskie, za pomocą którego można rozwiązać powyższe pytanie. Jest to słowo „stowarzyszenia“.

W tysiącznych swoich formach stowarzyszenia jedynie mają możność wytworzyć lepsze urządzenia pracy oraz lepszy użytek chwil i godzin od pracy wolnych.

Praca jest wprawdzie dziś bardziej ponurą, niż była dawniej, lecz za to jest więcej zbiorową, a to sprzyja rozwojowi związków wszelkiego rodzaju. Można się zatem spodziewać, że wiek dwudziesty zajaśnieje zwycięstwem systemu związkowego i że tą drogą powróci wesołość w świecie pracowników. Z rozmnożeniem się stowarzyszeń rozmnożą się wspólne obchody i uroczystości, dzięki którym powróci pogodna wesołość ogólna.

Nie idźmy tylko za zdaniem niektórych moralistów, którzy twierdzą, że wesołość jest w świecie niepotrzebna, że nie posiada ona żadnych wpływów twórczych. Historia bowiem świata dowodzi istnienia wesołości od początku; jest ona tak samo konieczna w wszechświecie, jak cierpienie. Nawet zwierzęta poszukują i oddają się jej z upodobaniem.

Wesołość jest dobrym doradcą; pod jej wpływem najwięcej powstaje rzeczy dobrych. To też i w czasach dzisiejszych potrzeba nam ogólnej wesołości dla rozwiązania wzrastających z dniem każdym zawisłości i sprzeczności społecznych.

Wesołość ogólna związana jest ściśle ze spokojem społecznym: powstaje z harmonii społecznej ale zarazem i tworzy ją; wyłącza uciski i gwałty, a szerzy dobroć. Nienawiść i zazdrość, nawet gdy zwyciężają, nie jaśniejają wesołością; natomiast dobroć choćby nawet zwyciężona, uśmiecha się pogodnie tj. z weselem.

Mowa tu naturalnie zawsze nie o wesołości brutalnej, rozpasanej, wynikłej z podniecenia, a będącej wyrazem egoistycznego używania — ale o tej wesołości pogodnej, ludzkiej, wynikłej ze spokoju sumienia, z zadowolenia, z chęci udzielenia się innym.

Wesołość niekoniecznie opiera się na bogactwie, jak twierdzą niektórzy; może ona istnieć



Marsylianka.

i w ubóstwie. Wesołość jest jednością, siłą, wiarą w życie. Taką wesołością odznaczyli się święci Pańscy.

Wesołość jest zapomnieniem trosk i smutków tak cudzych jak i naszych, jest zapomnieniem błędów, niesprawiedliwości, śmierci; jest lekarstwem i pociechą w tych cierpieniach.

Aby taką wesołość powrócić ludziom, do tego powołane są stowarzyszenia.

Wiek XX stoi pod znakiem stowarzyszeń — każdy więc do nich niech się garnie i w nich współpracować powinien.



Bogarodzica.

Pod taką nazwą znana jest najstarsza religijna pieśń polska, będąca zarazem najdawniejszym za-
bytkiem polskiej poezji i muzyki. Kto ją ułożył — niewiadomo. Długosz, piszący o niej w XV wieku, zowie Bogarodzicę śpiewem ojczystym, pieśnią narodową ale nie wspomina wcale, aby ułożona była przez św. Wojciecha. Wiadomość tę spotykamy dopiero u Jana Łaskiego, kanclerza, który Bogarodzicę po raz pierwszy drukiem ogłosił na czele statutu swego w r. 1506. Że jednak za czasów św. Wojciecha żaden jeszcze naród zachodniego obrządku pieśni kościelnych w języku własnym nie posiadał, a w Polsce dopiero w wieku XV powstały takowe od epoki św. Wojciecha zaś do Łaskiego upłynęło całe pięć wieków, niema za-

tem żadnych dowodów, aby pieśń Bogarodzica z X wieku pochodziła, a, przeciwnie, są wskazówki, że jest utworem z wieku XIII lub XIV. Najstarszą wzmiankę o niej podaje kronika walki króla polskiego Władysława z Krzyżakami w roku 1410, podług której całe wojsko polskie, idąc na bój śmiertelny, pieśń tę ze łzami śpiewało. Z czasów późniejszych są także wzmianki wielokrotne, że rycerstwo polskie przed rozpoczęciem bitwy hymn do Bogarodzicy podnosiło. Najstarsze, jakie się dochowały, mamy z XV wieku pochodzące 4 odpisy pieśni powyższej. Dwa z nich, z początku XV wieku, znajdują się w bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. Trzeci rękopis Bogarodzicy „warszawski“ znajduje się obecnie w bibliotece publicznej w Petersburgu. Czwarty z nutami przez Aleks. Przeddzieckiego w Częstochowie.

Cała pieśń, znana z odpisów i druków wieku XVI i XVII, złożona jest z 20 zwrotek i jak się zdaje, nie powstała odrazu, lecz urabiała się i rosła stopniowo w różnych czasach. Najstarszym jest początek pieśni. Pierwsza zwrotka z 5 wierszy zawiera prośbę do Maryi Panny o wyjednanie nam u Syna odpuszczenia grzechów. Druga z 6 wierszy jest modlitwą do Syna Bożego (Bożycy.) Obie te zwrotki stanowią część I-szą Bogarodzicy, liryczną, odrębną od reszty tokiem, myślą i odśpiewaniem, „Kyrie elejson“. Po niej, od zwrotki 3-ej do 15-tej włącznie następuje część wtóra, opisowa składająca się z dwóch pieśni Wielkanocnych o Zmartwychwstaniu Pańskim i umęczeniu, które położyły kres trudom, jakie „Adam, Boży kміeć“ cierpiał i przywiodły go do szczęśliwości wiecznej. Po tych dwóch częściach idzie ostatnia, najpóźniejsza, obejmująca modlitwy do św. Wojciecha, św. Stanisława, Wszystkich Świętych, za króla i jego rodzinę, dodawane od połowy XV wieku, odpowiednio do miejsca i okoliczności. Dotąd jeszcze pieśń Bogarodzica jest śpiewaną u grobu św. Wojciecha w katedrze gnieźnieńskiej.

Że jednak do XV wieku w kościołach katolickich śpiewano tylko pieśni łacińskie, Bogarodzica więc należy do tych najstarszych w Polsce, które początkowo śpiewane były po za kościołem, w klasztorach, w domach lub przez rycerstwo w pochodzie. Studya o pieśni Bogarodzica pisali: A. Przeddziecki, W. Nehring, A. Kalina, Roman Pilat, M. Bobowski i Adam Kryński. Muzykę przekładali z klucza dawnego na dzisiejszy rozmaici, ale po większej części błędnie, dopiero najumiejtniej dopełnił to A. Poliński w Warszawie i podał w Encyklopedyi Powszechnej.

Długosz tak opisuje pod r. 1431 zwycięstwo kmieci kujawskich nad Krzyżakami inflanckimi, którzy Kujawy pustoszyli:

„A zaśpiewawszy ojczystą pieśń Bogarodzica, której brzmienie powtórzyły okoliczne lasy i pola, mała garstka z przeważną liczbą, bezbronni z uzbrojonym wojskiem, wieśniacy z rycerzami tak mężnie i ochoczo wzięli się do rozprawy na polach wsi Dąbki nad rzeką Wierszą koło Nakła, iż mnie-małbyś, że to starzy wysłużnicy z młodym i nie-doświadczonym żołnierzem, a nie gmin wiejski z rycerstwem wprawnem w boju walkę toczyli.

Nastąpiła rzeź straszna, a gdy przednia straż nieprzyjaciela była pod mieczem, pierzchnęli ci wszyscy Inflandczycy, porzuciwszy obóz.“

W innym miejscu, mówiąc o zwycięstwie Polaków w r. 1435, pod Wilkomierzem nad wojskiem Świdrygiełły z Czechów i Inflandczyków złożonem, Długosz wyraża się:

„Rycerstwo polskie obyczajem przodków zagrzmiało pieśń Bogarodzica, a prześpiewawszy kilka wierszy, spotkało się z nieprzyjacielem.



OSZUKANY!

- Kochasz?
- Nad życie!
- Wierną będziesz?
- Do grobu.

— O mój aniele świetlany! Moje skarby nadziemskie! Moje... moje wszystko na świecie!

I usta tych dwojga zwarły się w gorącym długim pocałunku, słodkim nad wyraz, napętniającym całe jestestwo nieokreślonem, nadziemskim uczuciem.

A księżyc, który zcicha posuwał się po jasnym, milionami gwiazdeczek przetkanem sklepieniu niebios, uśmiechał się ironicznie. Ot stary cynik.

Anusia była córką bogatego obywatela, a Bolesław małym urzędnikiem w magistracie.

* * *

— Anusiu, pan Zakrzewski z Dobrej Woli oświadczył się dzisiaj o twoją rękę.

— Och mój Boże!

— I cóż ty na to?

— Ależ mamusiu, ja... kocham... pana... Bolesława.

— Doprawdy?

— Tak. Nad życie! Umrzemy bez siebie.



Zwierciadło.

— Hm!
— Jak mamusię kocham.
— A pan Zakrzewski zostawił dla ciebie taki śliczny brylantowy pierścionek. Popatrz tylko.
— Och! Jakiż śliczny!
— I powiadał, że żona jego będzie miała najpiękniejsze brylanty w całej okolicy. A wiesz jak jest bogatym.

— Tak. Ale ja go nie kocham, mamusiu.
— I cóż z tego? Dziś świat nie dba o miłość. Przyjdzie ona po ślubie.
— A pan Bolesław?
— On się pocieszy.
— Nigdy! Mówił mi, przysięgał, że umrze jeżeli go porzucę.
— Wystaw go na próbę. Napisz mu, że ojciec zgadza się na twój z nim związek, ale nie

da ci ani centa posagu, dopiero po pięciu latach szczęśliwego małżeństwa.

— Dobrze. Ale on mnie nie zawiedzie. On! Taki kochający, taki wierny, taki szlachetny!

* * *
— Wdepnąłem paskudnie, niema co mówić!
— — Pięć lat czekać! — — Cóż ta gaska sobie myśli? — — Ładna bo ładna, ale przecież miłością żyć nie można. — — Ja liczyłem na pięćdziesiąt tysięcy, a tu masz babo placek. — — Ani grosza i sentymentalną żonczkę... Nie. To nie dla mnie!

* * *
— Ach! A ja... go... tak... kochałam... Tak... mu wierzyłam. Niedobry!... Okrutny!... O ja umrę! Życie dla mnie nie... ma najmniejszego... po... wa... bu!... Niel... To... nie... mo... żebne... Ja... ja... ja... umrę... Ale pan Zakrzewski taki przyzwoity... człowiek... A taki bogaty... przytem starszy... A ten pierścione... Jak on świeci... O mój Boże... Co tu zrobić... Jakże mi serce skacze...

— Mamusi... ja... rozmyślałam się... Wyjdę za p. Zakrzewskiego.

* * *
— I co tu sobie człowiek pomyśleć może... Anusia mi pisze, że to była tylko próba i że ja za wcześniej się wycofałem... Teraz wychodzi za tego starego cymbała Zakrzewskiego i ojciec daje jej dwieście tysięcy bitych posagu... Och! Cóż za kolosalny głupiec ze mnie. Dałem się paskudnie wziąć na kawał... Oszukano mnie... Oszukano...

M. J. Sz.

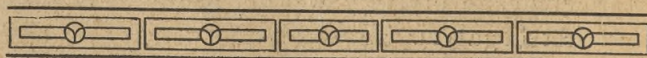


Arabskie „mądre“ przysłowia.

Dr. O. Rescher podaje kilka dosadnych zdań o mądrości przysłówów arabskich, w których Arab stara się rozwiązać ważne zagadnienie o kobiecie i małżeństwie. Zapatrywania kobietom nieprzychylne przeważają; — oto niektóre z nich: „Trzy rzeczy są na świecie, którym ślepo ufać nie można, a to: szczęście, kobiety i konie“. Goryczą przepelnione są zdania o małżeństwie: „Pierwszy czas małżeństwa słodkim jest jak miód, drugi jak korzenne (?) masło, trzeci jak podłego gatunku herbata“. „Bardzo wiele niezgody i nędzy moralnej wnoszą między małżeństwo przyjaciółki i znajome żony, które uczą ją zazdrości i chciwości“. „Kto chce sobie życie ciężkiem uczynić,

niechaj tylko kupi osła i kozę, kto niepokoju i krzyku w domu uniknąć pragnie, ten potrzebuje tylko jak najwięcej kobiet i psów w domu gromadzić“. „Małżeństwo często największą przyjaźń rozrywa; nie tak szybko nie rozdzieli przyjaciół jak pieniądze i — kobieta“. „Jeśli chcesz być spokojnym i szczęśliwym, to kochaj się ile chcesz, zaręczaj się rzadziej, a żeń — po długim namyśle“.

A jednak małżeństwo dla Araba zdaje się być niezbędnem; mówi: „Lepiej ożenić się ze starą, niż zostać starym kawalerem, a jeśli już musi być starą, to weź sobie jaką starszą łagodną kuzynkę, takie są najcierpliwszymi“. Związek z kuzynką zdaje się być dla Arabów pożądanym i naturalnym i bywa jeszcze dzisiaj bardzo często zawierany. „Cztery głupstwa są: kuzynkę oddać obcemu, bez pieniędzy wyjść do miasta, bez pomocy iść w bój, i zaczepić lwa w jego kryjówce“. „Żeń się z kuzynką, chociaż ci dokuczy, ale siwych włosów przez nią nie nabędziesz“. „Jeśli niema kuzynki, to trzeba uważać z jakiego domu bierze się żonę: niechaj będzie uczciwy i poważny, chociażby za tę dziewczynę dużo zapłacić trzeba“. „Przy wyborze żony zwracaj szczególniejszą uwagę, jaką jest jej matka; wybierajcie córki, poznawszy wprzód matkę“. „Ożeń się nawet z waryatką, jeżeli tylko jej matka jest rozsądną; nie bierz nigdy rozsądnej jeśli jej matka jest waryatką“. U niektórych szczepów uznają następujące przysłowia: „Kto pragnie piękności, niechaj bierze Gruzinkę; kto przebiegłości, — żydówkę; kto spokoju — Chrześcijkę; komu się podoba zarozumiałość i fantazyja — Turczynkę; kto chce szlachetnej i niewzruszonej — Arabkę“. „Piękność jest wprawdzie ważną rzeczą; piękna kobieta jest szczęściem męża i słońcem w domu, ale nie zaślepiaj się tak dalece w piękność twojej żony, ażeby nie zwracać uwagi na jej postępowanie“. Z piękną nieraz bardzo trudno poradzić sobie, dla tego też przysłowie radzi: „Niech raczej będzie najbrzydszym pajakiem, który ci spokój daje, niż — gazelą piękności, wprowadzającą ciebie i siebie w nieszczęście“. „Tylko ostatni brutal i łajdak bije swoją żonę, ale taki, który bez słowa ulega swojej żonie i jej matce, nie wart jest nazwiska mężczyzny“. „Dobrem choć ostrem słowem więcej z żoną zrobisz, aniżeli biciem i przeprosinami“. „Kiedy cię żona zdradzi, a ty jej przebaczysz i z wielkiej ku niej miłości, dalej z nią żyjesz, przepadłeś na wieki!“





Polowanie na kaczki.

Jak powstał najnowszy fason kapelusza damskiego.

„A więc mogę być spokojnym panie Roberts o mego psa w czasie mej nieobecności? Zapłacę chętnie za jego utrzymanie ile się będzie należało. Pan wiesz, to ulubieniec mojej żony; gdyby mu się coś wydarzyło, — byłaby niepokieszona“. — „Bądź pan przekonany, że ja i moja rodzina wszelkich starań dołożymy, ażeby psu było dobrze; jedź pan i baw się dobrze, powinność naszą sumiennie spełnimy“. Tak mówił właściciel domu do jednego ze swych lokatorów, patrząc z podziwem na męża przepelnionego miłością dla swej żony, z którą nawet (!) w czasie wakacji nie chciał się rozstać, nie chciał jednak brać z sobą żadnych „dodatków“ gdyż wiedział, że więcej miałby z temż kłopotu jak wytnienia.

Po wzruszającym pożegnaniu właścicieli ze swoim wiernym „Amorem“ wprowadziły dzieci pana Roberta z tryumfem psa do domu. Naturalnie każde z nich chciało się z nim samo „bawić“ tak to się nazywa oficjalnie, a w gruncie rzeczy jest — dręczeniem zwierząt. Kiedy dzieci już się z nim „nabawiły“ chciał pies się zrewanżować, wskoczył na stolik, na którym stał dość duży koszyk z ręcznymi robotami pani R., a upatrząc w nim coś smacznego włożył weń głowę, zaplątał się we frendzle serwety, zsunął się z nią na podłogę, a koszyk, z którego zwieszały się rozmaite płatki, jedwabie, nawet złote świecidła, znalazł się na jego łebku i tak mocno i zgrabnie „siedział“ na nim jak gdyby go najpierwsza modniarka stworzyła. Dzieci z radości krzyczały gdy to obaczyły, ale bo też „cudownie“ wyglądał! Po obu stronach śliczne długie jedwabiste loki złotawego koloru, z przodu oczy zupełnie zakryte, tylko nosek zadarty figlarnie i kokieterijnie wyglądający. Wrodzony zmysł piękna małej Mani dokonał reszty. Oto na podłodze leży duży kawałek materii, wzorowany w palmy i gzygzaki, kawałek z jakiegoś starego szala, wiedziała, że matka chciała go wszyć w koldrę, składającą się z misternych zszywanych kawałków, a tymczasem podniosła go zrobiła dość dużą kokardę i przypięła do koszyka na głowie psiaka. „Dla upiększenia“, najstarszy chłopak wyszukał dobrze już zużyty haczyk od pieca i wsunął go w kokardę dla „dokończenia“, najmłodszy pilnował „Amorka“ trzymając go mocno, żeby nie zrzucił „kapelusza“, bo psiak już się zaczynał niecierpliwić. Następnie zanosły go dzieci i posadziły w oknie, ażeby inne dzieci mogły podziwiać ich najnowszą zabawkę. Przypadkowo szedł ulicą — pewien pan; mimo-

wolnic musiał spojrzeć na okno w którym dzieci hałasowały. „ach! to cudowne! zachwycające, wspaniałe! nareszcie nowy pomysł, który mogę użytkować“, — mówił radca mody, — gdyż był nim ów pan, — wyjmując z kieszeni notatnik i kreśląc w nim szybko ołówkiem karykaturkę główki z zadartym noskiem, lokami i oryginalnym kapeluszem. Z lekkim sercem, nadzwyczaj zadowolony, poszedł do domu, skąd na wszystkie strony do najpierwszych magazynów wysłał depesze z wiadomością, o właśnie nowo wynalezionym przez siebie fasonie kapelusza, tak pięknym t. j. szkaradnym, że z pewnością odbędzie swój pochód tryumfalny przez świat cały. Nie skończył na tem znakomity mąż lecz zabrał się sam do czynu. Pod jego biurkiem stał ogromny kosz do papierów, który bez namysłu na środku pokoju wypróżnił, owinął go serwetą ze srebrnymi frędzlami, służącą za ozdobę fotela, i zatelefonował po jedną z pracownic swoich, bardzo ładną, a gdy przyszła kazał jej to monstrum włożyć na głowę. Ta z początku pomyślała, że jej pan — no, lepiej nie wyjawiać jej myśli — bo kiedy spojrzała w lustro, nie wydało jej się ostatecznie to tak szkaradnem. Potem radca spróbował, zamyślił się — możeby można z tego zrobić efektowną „nowość“ w skład męskiej mody wchodzącą, na której jednostajność i bezbarwność już tak bardzo narzekają? Ale wydało mu się to trochę za ryzykownem, kiedy przedstawił sobie swoich znajomych panów, przeważnie łysych w tem czupiradle na głowie, do uzupełnienia którego koniecznymi były loki wyglądające z pod niego; czy możnaby zniewolić panów do przypięcia sobie fałszywych? — Nadzieja zadziwienia świata i otrzymania odznaczenia za pomysł, zaczęła się chwiać mocno, chociaż, z drugiej strony, kto wie czy nie byłoby to możliwem? Próżności bowiem mężczyźni posiadają też wielką dozę, nawet czasami większą niż panie, tylko że nie chcą się do tego przyznawać, pomimo że trawia godziny przed lustrem — ale tego, nie nazywają próżnością, niechże Bóg broni! W tem wpadł nowo skonstruowany „kapelusz“ na poręcz krzesła, uderzył się mocno i przez to nabył nowej zupełnej formy a oboje ze zdziwieniem spoglądali to na siebie, to — na niego: prędko i bez namysłu „trzasnął“ go „radca“ z drugiej strony pięścią, i oto! przedstawił się takim cudownym genialnym „fasonem“ (nie radca, ale kosz do papieru) że oboje po ponownej próbie — wpadli w zachwyt! I — stworzyli nową modę z różnemi „waryacyami“ (mówiąc językiem muzycznym), która przez ogół dam, z najwyższem uznaniem, wdzięcznością i podziwem — zaaprobowaną została.

W krainie snów.

„Sen mara” — mówią usta ludu i po większej części słusznie.

Z chwilą, gdy się budzimy, sen rozwiewa się jak mara i rzadko kiedy wyraźnie zarysuje się w naszej pamięci.

Czasem wszakże sen ma coś wspólnego z przeżyciem albo z oczekiwanem przez nas wydarzeniem. Z głębi duszy naszej wybiegają wspomnienia, czy marzenia, które niby obrazy fantastyczne, zewnętrznymi przyczynami podniecone, przenoszą nas w krainę ułud.

Niema zapewne człowieka, któryby nie umiał jakiegoś snu powtórzyć, opowiedzieć. Praca mózgu, uważana jako źródło wszystkich złudnych obrazów, nie ustaje nawet i podczas snu. W każdym razie jednak, mózg pracuje wtedy inaczej, niż na jawie. Mózg jest siedliskiem i punktem wyjścia wszystkich nerwów i wszystkich duchowych czynności, środowiskiem naszych duchowych wrażeń, a także i pobudką wykonywanych przez nas ruchów. Każda atoli czynność mózgu, przywiązana jest do odrębnej jego cząsteczki.

Uczeni przyjmują za środowisko snów ten zwój nerwów, który za współdziałaniem zmysłów i innych nerwów czucia, wszystko, co się w okół nas i w nas dzieje, przenosi do naszej świadomości.

Poprzednikiem snu bywa, po większej części, zmęczenie, to jest „wyczerpanie sił, któremi rozporządza nasz system nerwowy”.

Właśnie wyczerpanie to i zanik uwagi na świat zewnętrzny, pobudzają nasz mózg do tworzenia sennych widziadeł.

Wiadomo, że podczas snu działanie serca słabnie, oddech staje się powolniejszym i mniej głębokim, zewnętrzne zaś wrażenia, jak: poczucie dotknięcia, szmer, w mniejszej sile nie zostają wcale odczuwane.

Im większe jest wyczerpanie sił nerwowych, tem dłuższy i głębszy sen po niem następuje.

Wkrótce po zaśnięciu, sen bywa najmocniejszy, po kilku godzinach staje się lżejszy, potem jeszcze lżejszy, aż dochodzi często do pewnego rodzaju półsnu, czy drzemania, które zazwyczaj poprzedza przebudzenie.

W czasie snu, względnie do jego mocy, zmienia się też poczucie samowiedzy śpiącego, a ta znów zależną jest od zatrzymania w działaniu ogólnych życiowych funkcji, o którym wspomniałem powyżej. Tu poczyna występować stan większej lub mniejszej podatności do marzeń sennych.

Często jeszcze przed zaśnięciem, gdy powoli, powoli przechodzimy do krainy snów, przed zamknięciem naszymi oczyma przesuwają się, zazwyczaj bez związku, postacie i obrazy, wizye, które właściwie uważać należy za wysłańców snu.

Sen dopiero wyprowadza szereg powiązanych z sobą, niby logicznie, widziadeł i wypadków, te zaś pozostawiają nam wrażenie, jak gdyby nasze zmysły pracowały naprawdę, jakbyśmy przeżywali rzeczywiście to wszystko, co nam senne mamidło przed oczy przynosi.

Wielu uważa sny za halucynacje, to jest, za obrazy, wywołane jakimś żywszym wspomnieniem, badacze jednak zgadzają się na to, że widziadła senne bywają przeważnie obrazami iluzji, do wywołania których przyczyniają się niezmierne zewnętrzne warunki śpiącego. Aczkolwiek bowiem człowiek śpiący nieczułym staje się pozornie na zewnętrzne, szczególnież mniej silne wrażenia, to jednak są one przyczyną rozmaitych widziadeł i uczuć. I tak na przykład: ciasna przyszyi koszula nocna wywołać może wrażenie, że nas duszą, albo zabijają; trudność oddechu, jaka się zwykle u osób niedokrwestych zdarza, często sprowadza wrażenie gniotącego nas na piersiach ciężaru, lub też olbrzymiego potwora, przyciskającego nam piersi kolanami i ściskającego nasze gardło niby w żelaznych kleszczach. Guzik naciska nas przy ręce, a my śnimy, że nas krępują i wiążą, — mamy niewygodnie umieszczoną nogę i śpiąc mocno, prostujemy ją zemdloną, a nam się zdaje, że spadamy z niebotycznej wysokości.

Ogólny stan śpiącego wywiera także niemały wpływ na iluzje senne, które albo pozostają w bezpośrednim stosunku do śpiącego, albo też znajdują się w jakimkolwiek związku z jego stanem w danej chwili. Głód, uczucie pragnienia, nazbyt obciążony żołądek, sprowadzają sny o głodowej śmierci, lub o wspaniale zastawianych ucztach.

Przypadkowe odkrycie się w nocy i ochłodzenie ciała, wywołuje we śnie przykrą myśl, że bardzo niedostatecznie okryci znajdujemy się w pośród liczego zgromadzenia i że daremnie staramy się ukryć przed wzrokiem ciekawych. Niekiedy we śnie usiłujemy się poruszyć i doznajemy uczucia, jakbyśmy byli przykuci do miejsca; szukamy jakiego przedmiotu, czy punktu oparcia i znaleźć go nie możemy; czujemy nareszcie trwogę przed czemś nieokreślonym, a strasznym, przerażającym.

We wszystkich tych przypadkach przyczyna, wywołująca sny i wrażenia we śnie, bywa przeważnie bardzo prosta i niewinna, jak to: zły układ ciała, niewygodne poślanie, ucisk jakiegoś drobnego, twardego przedmiotu, który przypadkiem

dostał się nam do łóżka. Tu więc, jak widzimy, zewnętrzne, błahe na pozór przyczyny, są pobudką do snów, które — w następstwie same się dalej rozwijają i na skrzydłach nieokiełzanej fantazyi tworzą różne dziwy. Bywa też, że sen wywołuje nagle obudzone wspomnienie, które bądź to od razu, bez przygotowań żadnych staje przed naszą — wyobraźnią jako mara senna, bądź poprzedzone jest szeregiem, często najniedorzeczniejszych obrazów, między którymi trudno bardzo nie przewodzić uchwycić.

Zdarzenia, wypadki, które nas bardzo zajmowały, lub które silnie na nas wywarły wrażenie, odzwierciadlają się też często w naszych snach, przeważnie jednak w zmienionej formie, ponieważ we śnie, osoby występujące w jakimś zdarzeniu zmieniają się, przesuwać niezupełnie logicznie i tak samo dzieje się z grą kolejną wypadków. Wyobraźnia pracuje we śnie bez żadnych ograniczeń i nie zna ani czasu ani przestrzeni.

Łatwo sobie wytłómaczyć, gdy weźmiemy pod uwagę to, o czym już mówiłam powyżej, a mianowicie że na przebieg i na kierunek obrazów sennych niezmiennie intensywnie wpływają wszelkie, choćby najdrobniejsze fizyczne wrażenia, oraz wielką skłonność wyobraźni, panującej we śnie, do bezładnego gromadzenia wspomnień i postaci.

Nader dziwnem jest zjawiskiem, zdolność ducha ludzkiego, że tak rzeknę, przedmiotowania siebie podczas snu, to znaczy, podsuwanie własnej myśli, uczuć i czynów innym osobom, tak, iż we śnie przygląda się im, wsłuchuje się w nie jako widz. Głód i pragnienie, jak wiadomo, wywołują sny o jedzeniu i picu. Śpiący jednakże prawie nigdy nie bierze w owych wyśnionych przez siebie ucztach udziału. Każdy wie pewnie także z własnego doświadczenia, że wyczekiwanie przez dłuższy czas zdarzenie, które nam spokoju nie zostawia, we śnie naszym spotyka najczęściej nie nas, lecz kogoś innego. Podczas egzaminu na przykład mało jest chyba uczniów, którzyby nie śnili o wyciąganiu pytań, których się najbardziej obawiali, zazwyczaj wszakże nie oni sami pytanie owe wyciągali, a tylko ich koledzy. Pamiętam, że mnie samej, gdy byłam jeszcze w szkole, śniło się, iż wyciągnęłam, podczas jednego z najważniejszych dla mnie egzaminów, fatalne pytanie, na które nie umiałam wcale odpowiedzieć, i śni mi się dalej, że profesor zwraca się do stojącej obok mnie koleżanki, która jaknajlepiej na powyższe pytanie odpowiada. Tu więc myśl moją we śnie wyobraźnia rozłożyła na kilka osób i każdej z nich właściwą przeznaczyła rolę. We śnie umiemy być nieraz tak przytomni, że widzimy

porozumiewawcze spojrzenia drugich i domyślamy się knowań i intryg przeciw nam wymierzonych.

Jesteście, jakby widzowie na przedstawieniu, słyszymy zdania bynajmniej nie przeznaczone dla naszych uszu, niby zdanie przez aktorów wypowiedziane „na tronie“.

Często zauważyć można, że ludzie pogrążeni we śnie, poruszają rękami i nogami i rzucają się niespokojnie. Bywa nawet, że zrywają się z łóżek, krzyczą, śpiewają lub mówią.

Im głębiej, mocniej, zdrowiej śpimy, tem mniej podatni jesteśmy do wysuwania snów ze zmęczonego mózgu i tem mniej, gdy nawet sen nas nawiedzi, zachowujemy go w pamięci; im zaś śpimy głębiej, tem sny nasze stają się bardziej ożywione, wyraźniejsze, i dlatego to, wogóle kobiety są niesłychanie bardziej snom podległe, aniżeli mężczyźni, ci nie tylko śnią nierównie rzadziej, lecz nigdy prawie snów swoich nie pamiętają.

Wiele kobiet szuka w snach postronnego znaczenia i nadaje snom siłę przepowiedni, ostrzeżenia i przywiązuje do snów niedorzeczną, zabobonną wiarę.

Biedne, w taki sposób myślące istoty! Niejedną łzę, niejedną godzinę trwogi mogłyby sobie zaoszczędzić, gdyby wyraźnie, z zimną krwią umiały patrzeć na senne mary i gorliwie starały się wyszukać ich przyczynę. Uciskający guzik, niewygodna koszula, obciążony żołądek, są to, jak wspomniałam, dość ważne przyczyny do wywołania przerażających widziadeł. A gdyby nawet w jakimś danym wypadku nie mogły znaleźć oprócz powstania snu na żadnej zewnętrznej przyczynie, to niechaj sobie tylko przypomną ile to radości i smutków, łez i uśmiechów życie im przyniosło, niechaj postarają się, z uwagą natężoną przypomnieć sobie ten i ów przebieg rozmaitych wypadków. a z pewnością wtedy, zamiast wyrazu przerażenia uśmiech zaświeci w ich oczach i co najwyżej podziwiać będą własną wyobraźnię, która tak niepowstrzymanie szybowała po krainie sennych mar.



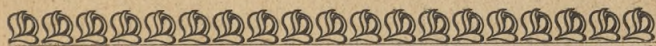
Nasze ilustracje.

PRZYSIĘGA. Obraz ten budzi w nas tysiączne echa z minionej a zawsze równo żywej i równo drogiej nam przeszłości; przywodzi nam na pamięć, jak to ojcowie nasi, gorącą płonąć miłością Ojczyzny, w kajdany niewoli skutej, rwali się do czynu, by Ją oswobodzić, by z orężem

w rękę, nie szczędząc krwi własnej i mienia i życia, wywalczyć Jej przyszłość niezależną. Rok 1931, 1848, 1863, — a nadto te liczne boje pod obcem niebem, dla obcej sprawy, a zawsze z wiarą, że wszystko dla drogiej Ojczyzny — to karta krwawa w dziejach Polski porozbiorowej, lecz równocześnie promienna, święta nadewszystko. Nie poszła krew, przez ojców naszych w walkach tych przelana — na marne, przeciwnie ona to użyźniła duszę polską, ona sprawiła cud, że naród polski żyje i, mimo wszelkie wraże zakusy i uciski, czuje się narodem silniejszym z dniem każdym. — Na obrazku naszym widzimy dwóch mężów, a w dłoniach ich szable skrzyżowane. Snać wielka to chwila, bo twarze ich uroczyste. Pierwszy, starzec już, z ufnością, wiarą niezachwianą wznosi wzrok swój ku niebu, drugi z dziwną zaciętością, wolą nieugiętą spogląda na szable. W piersiach obu gore jedno silne postanowienie: „Za wiarę i Ojczyznę!” — a usta ich zdają się szeptać: „Przysięgamy na miecz — tak nam Boże dopomóż!”

MARSYLIANKA. Widzimy tu rodzinę zgromadzoną i młodych przyjaciół. Rzecz dzieje się we Francji w czasie Wielkiej Rewolucji, kiedy to bohaterowie rewolucji słowem i pismem, czynem i śpiewem, porywali naród do walki z tronem i biurokracją i możnowładcami. Widzimy więc takiego młodego zapaleńca, który z ogniem śpiewając pieśń walki i wolności „Marsyliankę”, zgromadzonych wręcz hypnotyzuje.

Reszta obrazków przedstawia nam ZWIERCIADŁO, to jest strumyk leśny, w którym przegląda się uroczą rusalka-wodnica, — oraz POLOWANIE NA KACZKI, jedno z najtrudniejszych w myśliwstwie, ponieważ dzikie kaczki są niesłychanie czujne.



TO I OWO.

Elektryczny sen.

Uczony francuski Leduc zrobił odkrycie, które w sferach lekarskich budzi od dłuższego czasu duże, a zupełnie zrozumiałe zainteresowanie. Leduc mianowicie po całym szeregu doświadczeń dokonanych na zwierzętach, doszedł do przekonania, że chloroform czy eter można zastąpić w narkozie prądem elektrycznym. I jeżeli system ten w dalszych doświadczeniach istotnie okaże się skutecznym, to w chirurgii można się spodziewać poważnego przewrotu.

„Leduc profesor w Szkole medycznej w Nantes — pisze o tem dr. J. Kowarzyk z Wiednia w jednym z pism tamtejszych — przy badaniu zachowywania się mózgu wobec prądu elektrycznego, zrobił bardzo interesujące odkrycie, że przez zastosowanie prądu elektrycznego w odpowiedniej formie mózg tak zwierząt, jak i ludzi, można wprowadzić w stan przemijającego zaniku odporności podobnie zupełnie jak przez narkotyzowanie chloroformem czy eterem. Zjawisko to nazywa uczony francuski snem elektrycznym. U zwierząt uspionych w ten sposób, gasły wszelkie funkcje życiowe z wyjątkiem czynności serca i oddechu; nie reagowały one na najbardziej nawet bolesne dotyki i pozostawały dopóty w takim stanie, dopóki trwało działanie prądu elektrycznego.

„Po doświadczeniach, robionych na zwierzętach, nie zawahał się znakomity uczony dokonać próby na sobie, kazał się bowiem kolegom swoim Malherbe'owi i Rouxeau'owi zanarkotyzować swoją metodą — i oto, co sam o tem powiada: „Uczucie wywołane podnieceniem nerwów, jakkolwiek trochę nieprzyjemne, jest łatwe do zniesienia. Uspokaja się zwolna i ustaje. Twarz czerwienieje: występuje lekka kontrakcja mięśni twarzy, na szyi, a także w przedramieniu; potem czuje się drganie w palcach u rąk, które rozszerza się także na kończyny nóg. Rozpoczyna się hamowanie mowy. Członki nie sztywnieją, stękanie przez pewien czas nie wywołuje jakiegoś bolesnego uczucie; pochodzi ono raczej z podniecenia mięśni krtani. Puls podczas naszego eksperymentu nie uległ żadnej zmianie, oddech był, zdaje się trochę utrudniony. Kiedy prąd osiągnął swoje maximum, słyszałem jeszcze, jak we śnie, co koło mnie mówiono. Czulem szczypanie, klucie w ramię, uczucie to jednak było słabe. Przebudzenie następuje zaraz po przerwaniu prądu i nie odczuwa się żadnych ujemnych następstw tego rodzaju narkozy, przeciwnie, ma się uczucie rzeźkości i siły. Po przebytej próbie udałem się zaraz na zebranie naukowe.

„Czy metoda prof. Leduc'a jest istotnie tak nieszkodliwą — dodaje dr. Kowarzyk i czy zdoła wyrugować powszechnie dzisiaj w narkozie stosowane chloroform i eter, poucza nas dalsze badania“.



Największy teatr na świecie.

W Londynie ukończono budowę teatru Rozmaitości, który będzie największym tego rodzaju

gmachem na świecie. Teatr ów, zwany „Pallad-mus“, kosztuje z górą 600,000 funt. szterlingów.

Widownia, w której może się pomieścić 5000 widzów, jest tak zbudowana, że z każdego miejsca, nawet najtańszego, można zupełnie dobrze widzieć scenę. Salony do picia herbaty, winiarnie urządzone wykwiłtnie, czytelnie, biblioteka bezpłatna, a nawet salony fryzjerskie dla pań i panów są otwarte dla gości.

Łamigłówki do nagrody

I.

1.	2.	3.	4.	5.	6.	7.	8.
o	o	o	o	o	o	o	o
o	o	o	o	o	o	o	o
*	*	*	*	*	*	*	*
o	o	o	o	o	o	o	o
o	o	o	o	o	o	o	o

Kółka i gwiazdki zastąpić należy literami.

Litery, oznaczone gwiazdkami, dadzą nazwisko znanego miliardera-filantropa.

Znaczenie wyrazów.

1. Miasto w Francyi
(nad Morzem Śródziemnem).
2. Bogini polowania.
3. Miasto nad Wisłą.
4. Poeta włoski
(autor „Boskiej komedyi“).
5. Wyspa przy Grecyi.
6. Ptak domowy.
7. Kraj w Azji.
8. Miasto w Grecyi.

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać **tylko na pocztówkach** najpóźniej do 19. stycznia b. r. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadesłały rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 4.

Rozwiązanie

Łamigłówki zamieszczonej w nr. 53:

I. Polska. — II. Batory.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Janina Borucka, Felicja Brachłówna, Stanisława Chciukówna, Justyn Cholewik, Zbigniew

Chudecki, Jan Czaja, Wł. Dubaj, Konstanty Finik, E. Franz, Emil Gruszecki, Leonarda Hodoly, W. Hyla, Jan Jaworski, Leszek Jaworski, Aniela Kluskówna, Otylia Kostańska, Franciszek Kosturkiewicz, Julian Krzysztofowicz, Adela Lorenz, Z. Maślakiewicz, W. Maziarski, Emilia Michniewicz, Tadeusz Nodzyński, Karol Pacuła, Alina Panasiewiczówna, Franciszek Pawliczek, Stanisław Pec, Józef Pieszczoch, Ludwik Rostek, Wilhelm Rückemann, F. Schille, Celestyn Schöffner, Maryla Spitzówna, J. Steindl, Kazimierz Szeliga, Emilia Tatarówna, Walerya Tatarówna, Władysława Tutakowa, Stefania Wdówkówna, Anna Welnianka, Adela Wiszniewska, Romuald Zbiegień.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Jadwiga Adamczewska, Agnieszka Błaszczuk, T. Czarczyński, Halina Czyżewska, Helena Dąbrowska, J. Depczyński, Seweryna Dobrzyńska, Danusia Doleżych, P. Gillner, Stefan Galon, Franciszek Haiduga, Wincenty Herok, Seweryn Jakubowski, „Janek z pod Góry Przemysław“, Eleonora Jankowska, Janina Jasielska, Wikcia Kiepińska, Kierska, Steficia Kiser, Konstancja Kolańczyk, Pelagia Kopańska, Z. Krajewski, Franciszka Kruczek, Sabinka Kruszyń, „Lotos“, St. Markowiak, Zygmunt Metelski, W. Modrakowska, Fr. Nawrocka, S. Niezielińska, Henryk Nowak, Stanisław Pietrzak, L. Polaszyk, Julia Płoszyńska, Stefan Preibisz, Tadeusz Przybyszewski, Marya Raczyńska, Gertruda Raczyńska, Halina Rychlewska, Cecylia Sikorska, Marya Snowadzka, Wanda Stachowska, Pankracy Stark, Tadeusz Węciewicz, Marya Wilhelmi, Helena Włodarczyk, Stanisław Wrzyszczyński.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Salka i Jadzia Hankiewiczówna z Steglitz (pod Berlinem), Maryanna Kalitka z Hamborn (Nadrenia), Stanisław Michalski z Kray (Nadrenia), Mania Molińska z Pankow (p. Berlinem), Mania Wróbel z Berlina.

Nagrodę otrzymają:

pp. Pelagia Kopańska z Kruszwicy, Wincenty Herok z Radlina (Górny Śląsk), Stanisława Chciukówna z Drohobycza (Galicya), Z. Krajewski z Poznania.

*Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej, przesyłali rozwiązania łamigłówek **tylko na pocztówkach.***



DZIAŁ POWIEŚCIOWY

Marya Rodziewiczówna.

JERYCHONKA

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Po chwili Magda dodała:

— Jest zawsze oszukiwana, wyzyskiwana i często jeszcze wyśmiewana, ale zawsze z rezultatu rada. Podziwiam, jak jej czasu wystarcza na tyle zajęć, bo mając już swoją ukochaną szkołę, należy jeszcze do zarządu dwóch ochron i przytuliska dla starców i kalek. No, i zarządza mną i moim domem i ma mnóstwo towarzyskich stosunków.

— I nigdy się panie nie sprzeczą?

— Nie, ona na mnie często gderze za roztargnienie, a ja się śmieję z jej codziennych niepowodzeń z dziatwą. Zresztą harmonii naszej nie zakłóca. Znadto jesteśmy do siebie przywiązane.

— A ma też pani kogo szczególnie wybranego wśród tej masy znajomych?

— O, zapewne. Mam koleżankę z Drezna, Berwińską: wyborna dziewczyna! Mam dwoje starszuchów, Zaklickich, którzy gospodarzą na ziemi, o mil parę za miastem. Ano, lubię bardzo Andrzeja Oryża, malarza, który mnie zawsze odśadza od wszelkich zalet, i pana Sylwestra, który mnie broni przed jego bezzwzględną krytyką.

— Tego znam!

— To nietrudno! Niema domu, gdzieby nie bywał i kamienia w Krakowie, któryby bez niego położono od lat pięćdziesięciu.

— Mówią, że jest bardzo majątny.

— Zapewne, jeśli mógł zgromadzić tyle cennych przedmiotów. Dom jego, to istne muzeum.

— Doprawdy? Muszę się do niego zaprosić. Mam kult dla takich starych gratów.

— Znajdzie tam pani, co zechce: od bronzów do sztychów, od połamanych mebli do koronek.

— To nawet się opłaci ze starszkiem poplirtować.

— O, niezawodnie! Tembardziej tutaj, w ciłym Krakowie, gdzie wybór, sędzę, niewielki.

— Pani toleruje tę zabawkę?

— Jeśli to kogo bawi... dla czego nie?

— A pani tego nie próbuje?

— Flirtu? Nie! Znadto jestem roztargniona, a to gra, wymagająca wielkiej przytomności umysłu. Ciąglebym zapominała, żem zaczęła i z kim właściwie.

W tej chwili zegar wybił godzinę. Baronowa zerwała się gwałtownie.

— Dla Boga! Już trzecia, a ja miałam o pierwszej być u szwaczki. Anim się spostrzegła.

— Ani ja — rzekła Magda obojętnie, nie przestając malować.

Baronowa ubierała się spiesźnie, trochę rozgniewana na siebie samą.

— To jest nie do darowania. Szwaczki już nie zastanę, a matka mi piekło zrobi o śniadanie. Cały porządek dnia zmacony. Teraz dopiero czuję, jakam zmęczona. Członki mi ścierpły. Chyba już jutro sprawię sobie i pani rekreację.

— O nie! — zaprotestowała Magda. — Jeszcze tylko tydzień posiedzeń; niech się pani poświęci. Wykończenie i akcesorya zrobię już bez pani, ale tego tygodnia nie ustąpię.

— Rada pani mnie się pozbyć, uważam.

— Bynajmniej, ale musi pani odpokutować Ostendę.

— Cóż mam robić? Przyjadę pod warunkiem, że pani mnie będzie bawiła. No, do widzenia.

Już ubrana, podała artystce rękę w bardzo eleganckiej rękawiczce i dodała z powabnym uśmiechem:

— Bardzobym rada i po skończeniu portretu pozostać w gronie znajomych pani.

Magda ukloniła się w milczeniu i uściśliła podaną dłoń. Potem przeprowadziła baronową do przedpokoju i wróciła do roboty. Malowała pilnie, korzystając ze świeżej pamięci, zajęta wyłącznie swem dziełem, które coraz doskonalej występowało, jak żywe na płótno.

Krótko jednak dano jej pracować, bo majorowa wpadła jak burza.

— Myślałam, że tu zanocuje! Czy sfiksowała? Nie wie, że w każdym porządnym domu ludzie są głodni o trzeciej? Obiad przepalony, na nic! Chodźże prędzej! Już tylko patrzeć, jak Oryż z Sylwestrem się zjawia.

— Daruję im moją porcję. Patrz, czy dobrze?

Majorowa przysłoniła dłonią oczy i zachodziła to z prawej, to z lewej strony stalug.

— Podobna! Nie ma co mówić. Ale to zgroza tak się obnażać. Nie mogę do tego przywyknąć. Ale wiesz, com o niej słyszała? Mąż się z nią rozszedł dla gachów. Wszyscy oficerowie byli u niej w łaskach.

— Dotychczas zbierałaś po Krakowie tylko błakające się dzieci, teraz uważam, że zaczynasz zbierać plotki.

— To nie są plotki. Chcę, żebyś wiedziała, co o niej mówią i żebyś była ostrożną.

— Dawno wiem, co mówią. Oryż przecież od tego jest, żeby mi prawić skandale; lecz nie cierpię, gdy kobiety obgadują się wzajemnie

i każda oczerniona ma we mnie obrońcę. Nie godzi się powtarzać oszczerstw, nie popartych żadnymi faktami.

— A to wysmienite! Więc to mały fakt, że od niej uciekł...

— Pewnie, że to niczego nie dowodzi. Mogli się w tysiącach innych rzeczy nie pogodzić. Zresztą, co mi tam! Nie cierpię, gdy kogo obgadują i basta!

Majorowa zamruczała coś dla utrzymania swej powagi i ostatniego słowa, ale serce jej pełne było radości z oburzenia siostry. Ona czasem tak jej próbowała dla przyjemności usłyszenia zdrowej, śmiałej prawdy. Lubiła tę dziewczynę nad życie za jej szczerość i poczucie honoru. Dumna była, że wychowała taką i pewna, że to jej wpływ i zasady taką ją uczyniły. Chociaż, jeśli kto nad kim miał władzę, to Magda nad nią.

— Wiesz, gdzie jest Filip? — odezwała się artystka, nie odrywając się od roboty.

— No?

— W Ostendzie, grywał na gitarze baronowej i tu prędko przyjedzie.

— Nie może być! A to chłystek! Niechże mi się na oczy nie pokazuje.

— Bo go wpakujesz do szkoły, jako moralnie opuszczone dziecko i włóczęgę.

— Więc się zakochał w tej lali, a ona się przechwała. Winszuję.

— Znowu zaczynasz. Ja zaś dziwiłabym się, gdyby się nie zakochał: nie byłby artystą. Ona się tem nie przechwała. Zanadto jest piękną, aby jej już nie spowszechniały ludzkie zachwyty.

— Ja tam w niej nic tak nadzwyczajnego nie widzę. At sobie!

— Maryniu, bo cię wygonię z pracowni. Bój się Boga, kobieto, spojrzysz na jej linię, na kształt bioder, na karnację, na ramiona, na profil. Toć żywy posąg grecki.

— Dziękuję ci za taką piękność! Dostyc wstydu miałam, włócząc się z wami po galeryach. A ja ci powiadam, że to jest chorobliwe ten wasz zachwyt nad taką marnością. Zgnije i tylko fetor zostanie.

Magda ze złością rzuciła paletę, pendzel i zakryła portret.

— Żebyś ciebie nie kochała, tobym znienawidziła! — zawołała oburzona.

A majorowa śmiała się z dobrodusznym tryumfem i otwierając okno pracowni, rzekła:

— Dzięki Bogu, przecież postawiłam na swoim. Zjemy w porę obiad, bo oto Oryż dzwoni.

Magda obejrzała się za bronią odporną i porwawszy z dzbana pęk astrów, zaczęła niem,

uderzać siostrę, pędząc ją ku drzwiom i wołając żartobliwie:

Idź-że do jadła, napoju,
Zostaw-że mnie w spokoju,
A kysz, a kysz!

— Kto potrzebuje sukursu? — zawołał z salonu Andrzej Oryż.

— Naturalnie, ja — odparła majorowa — Patrz pan, jak ona moje siwe włosy postponuje! Zgroza!

Malarz stanął przed Magdą i usiłował odebrać jej pęk kwiatów. Był to człowiek młody, suchy i śniady, bardzo brzydki, nadzwyczaj bystrego wyrazu twarzy, przy którym zupełnie zapominało się o brzydocie. Magda, śmiejąc się wesoło, umykała mu kwiaty, wreszcie, zmęczona, rzuciła je na stół i wymknęła się z pracowni.

— Wróg sromotną podjął ucieczkę! — zadeklamował Oryż — pozostawiając łupy w ręku zwycięzcy.

Zebrał kwiaty i chwilę trzymał je w ręku, smutno się wpatrując. Wybrał jeden, włożył w klapę surduta, potem, jakby zawstydzony, wyjął. Na to wróciła Magda, już przebrana do obiadu, nucąc półgłosem.

— Co to? Pan stokrotki obrywa! — zaśmiała się.

— Tak, pytam, czy mnie kto kocha — odparł ironicznie.

— Niech pan mnie spyta. Ja wiem.

— A ja wcale słyszeć nie chcę tego, co pani wie. Wolę stokroć kochać bez nadziei, niż być kochanym przez kogoś obojętnego.

— To dowód, żeś pan bardzo jeszcze młody.

— Miałem już czas młodość zmarnować, ale miłość beznadziejna daje natchnienie, a tamta od biera. Więc nie głupim zmieniać.

— Patrzcie-no, więc pan w sercu krwawą ranę nosił! Niechże się panu przypatrzyć i oddam cześć.

— Słuszną. I przyjmuję. Uczynię panią nawet moją powiernicą. Kocham bez wzajemności moją praczkę.

— Winszuję, ale jej się nie dziwię. Żadna praczka nie odda serca abnegatowi. Toby była za wielka ofiara. Miałam dzisiaj trzy godziny baronową... wie pan!

Oryż podszedł do stalug i odkrył portret. Długi czas przyglądał się w milczeniu — oczy jego zabłyśły, nozdrza się rozdęły — nie mówił nic, aż ochłonął.

— Cóż.. dzisiaj drzewo, czy bawełna? — spytała Magda, układając kwiaty.

— Nadmuchana cielęcina! — zdecydował Oryż. — Tak fuszerować i jabym potrafił. Ta dama nie ma mięśni, ani krwi... to jest Bohomaz! Takie sprzedają na łokcie po kramach na odpustach!

— Takie? — zaśmiała się Magda. — Kup mi pan trzy łokcie takich świętych!

Spojrzała na swe dzieło, a Oryż ją jej różne punkta wskazywać.

— Dla czego to ramie spuchnięte? Tu, ani chybi, formuje się wrzód, a ten palec rzeczywiście jest krzywy. A te sine zygzaki, czyż to mają być żyłki? Nikt żywy takich nie widział dotychczas. Gdybym był baronową, tobym to straszdyło darował na kurtynę do gabinetu figur woskowych.

Magda słuchała bez gniewu, owszem z zajęciem. Śledziła uważnie wskazane punkta i potakiwała głową.

— To prawda. Przemaluję jutro — rzekła.

— Na co się to zda? Zmaże pani jeden, a zrobisz trzy błędy — odparł Oryż, wciąż się wpatrując.

— To zmażę wszystko!

Wzięła szczotkę i butelkę z terpentyną, i bez żartu zabierała się do roboty.

Wtedy Oryż prędko płótno zakrył i żywo rzekł:

— Po obiedzie. Po obiedzie!

Wybuchnęła śmiechem, a on spostrzegł, że się zdradził, i dodał, odprowadzając ją od stalug:

— Bo to daremny trud. Będzie pani smarowała i źle smarowała; więc po co z panią walczyć? To jest mania, a głupcy utrzymują w niej panią. Świat tyle się zna na sztuce, co Sylwester. Maluj sobie pani dla takich.

— To dobrze. Wzroku panu nie będę więcej zabijała widokiem bohomazów.

— O, dziękuję pani z całego serca — odparł wdzięcznie.

Oryż był prawie domownikiem u nich, bo się stołował i miał w przechowaniu u majorowej swój kufer z drogocennymi rzeczami. Nie trzymał go w swej pracowni, bo ta była peryodycznie licytowana przez lichwiarzy. Mówił też dla tego z przechwałą, że nigdy nie może nadążyć z robotą, i że każde jego płótno ma nabywców, zaledwie obeschnie.

Zdolny był niesłuchanie, ale próżniak i cygan. Żył z ilustracji; pracował tylko wtedy, gdy go trzymano jak na uwięzi, albo gdy nie miał nawet centa na cygaro.

Rano wałęsał się bez celu. Po obiedzie szedł do knajpy; rzadko w domu nocował. Czasami ginął gdzieś na całe tygodnie.

Majorowa lubiła go przecie, bo jej codzień prawie przyprowadzał ze swych wędrówek obdarsusów do szkoły i bardzo się tą szkołą zajmował. Zresztą miała to przekonanie, że zeń zrobi statecznego człowieka i dlatego karmiła go dobrze, bo mówiła, że porządną wikt wpływa najskuteczniej na poprawę obyczajów.

Rzeczywiście, Oryż od roku, jak do nich przyszedł, dość regularnie przychodził i czasami nawet płacił. Gdy Magda malowała po obiedzie, czytywał jej głośno, i jeśli go chciała mieć z sobą wieczorem w teatrze lub na spacerze — nie siedł do knajpy.

Przepadł czasami bez wieści, ale tylko wtedy, gdy te panie czas jakiś były zajęte towarzyskimi stosunkami i o nim zapomniały. Wracał wprost do nich i jakby wczoraj pożegnał, prosił o klucz od kuferka, siadał do obiadu i plądrował po pracowni Magdy.

Majorowa wołała z jadalni.

Zasiedli do stołu.

— Cóż słysząc w szkole? — zagadnął Oryż, który jadł mało i nawet na potrawę nie spojrzał.

— Było ich dzisiaj trzydziścioro — pochwalila się majorowa.

— Winszuję. A moja Wikta nie uciekła jeszcze?

— Nie. Teraz mam na nie sposób. Daję śniadanie. Nie dość na tem! Białą kawę! Kto przychodzi umyty i uczesany, dostaje w dodatku bułkę.

— Bagatela! — zaśmiał się Oryż. — Na takich warunkach, tobym się i ja mył i czesał codzień.

— To mi doradził ks. Walery od św. Barbary. I wie pan, okazało się to nadzwyczaj skutecznem. Już dzisiaj dałam dwadzieścia bułek.

— Ależ to panią musi porządnie kosztować ta trzódka błędnych owiec!

— Tylkoż to! Żyję na koszt Magdy już teraz, a na tamto wystarczam ze swoich.

— To jednak musi być zabawne mieć zawsze pieniądze na każdą potrzebę.

— Warto, żeby pan tego spróbował. Czas się ustatkować, panie Andrzeju.

— Nie chcę! To nie szyk w naszym cechu — odparł Oryż pogardliwie. — O czem pani myśli? — zwrócił się do Magdy.

Drgnęła, budząc się z zadumy.

Ale on nie dał jej odpowiedzi.

— Niech pani nic nie mówi, bo będzie to kłamstwo.

— O, bardzo proszę! Nigdy sobie tej fatygi nie zadaje, aby zmyślać. Myślałam o Filipie.

— Odnalazł się?

— Tak. Poznała go baronowa w Ostendzie; ma tu przyjechać rychło. Myślałam tedy, że się weźmie do pracy?

— Romansowania z baronową? To niezawodnie.

— Ależ jedno drugiego nie wyłącza! Miłość daje natchnienie.

— Jak komu, mnie przeciwnie.

— Ba, jeśli ktoś marzy o pracze! — odcięła.

— Lepiej o pracze, niż o baronowej. Bo ta rozskubie jego duszę na szarpie i zrobi z nich sobie taburecik lub poduszkę dla pinczera!

— Oho, pan nie znasz Filipa — wtrąciła majorowa. — Nie tak łatwo go rozskubać. Da sobie radę.

— Zresztą, co tam! — machnął ręką Oryż. — Człowiek po to żyje, by się zmarnować. Więc czy się zmarnuje od knajpy, czy od buduaru, od długów, czy od perfum... to rezultatu nie zmienia.

— Panie Andrzeju, bez urazy, ale przyjdź pan do szkoły na parę lekcji katechizmu — rzekła majorowa żartobliwie. — Nauka niedługa, nietrudna do pojęcia, a równie skuteczna jak różga, na którą niestety pan już za stary.

— Dziękuję pani i skorzystam, skoro pani rozszerzy swój zakład i na chłopców.

— A wie pan, że już o tem myślę. Ksiądz Walery bardzo mnie do tego namawia. Tylko w tym domu ciasny lokal.

— Dzięki Bogu. Mam jeszcze czas powalać się nad Rudawą, zanim mnie pani do katechizmu zapędzi.

Obiad był spożyty. Powstali tedy i przeszli do saloniku. Majorowa przyniosła stos dziecięcych zeszytów do przejrzenia, Oryż zapalił cygaro, Magda usiadła do fortepianu i brząkała coś od niechcenia.

Oryż słuchał chwilę, potem wstał.

— Nie jestem dzisiaj paniom na nic potrzebny? — spytał majorowej.

— Ach, i owszem. Wyrysuj mi pan ładny zygzak na plecionki. Potrzebuję modelu, a u Magdy doprosić się go nie mogę. Narób mi pan też ładnych monogramów do haftu!

Oryż z widocznym zadowoleniem przyniósł z pracowni papier i ołówki i na kolanie jął rysować. Nigdy go nie można było namówić, by używał stołu.

W tej chwili dzwonek się ozwał i Magda rzekła:

— Już pan Sylwester.

Gość był to niemłody jegomość, otyły, czerwony i uśmiechnięty, bardzo starannie ubrany i ruchliwy. Wyglądał na człowieka, któremu życie szło gładko i wesoło, jak strumyk bardzo jasny, ale i gładki.

Już w przedpokoju gadał ze służącą, a witając towarzystwo, mówić nie przestawał.

— W przelocie wpadłem, okropnie mi się spieszy! Mam dla pani majorowej lokal, cacko, na szkołę. Radzę się spieszyć, bo zajmą. Ale mówiłem z właścicielem, obiecał do jutra czekać. Nie było pani, panno Magdo, dzisiaj na wystawie, a szkoda, są nowe kartony Matejki. Pana to chcę porwać z sobą jako eksperta.

— Od czego? Alboż pan pijasz piwo?

— Pijam niekiedy. Ale nie o to rzecz idzie. Dano mi znać, że jest do nabycia prawdziwy Carlo Dolce. Boję się, czy nie blaga.

— I niezawodnie. Gdzież to cudo ma być? — spytała Magda.

— Na Podgórzu, u jakiejś wdowy po muzykancie. Mam tu adres. A możeby też pani zechciała nam towarzyszyć? Pogoda prześliczna, przejedziemy się za jedną drogą. Mój powóz czeka.

— Dziękuję, ale nie mam ochoty. Słonecznych dni już mało; muszę z nich korzystać. Zresztą pewna jestem, że to kopia albo naśladownictwo.

— A ja nie ekspert i nie pojadę — rzekł Oryż. — Filistrem nie jestem, ani małpą, żeby mnie obwożono budą po mieście. Weź pan sobie Malickiego; ten się wysypiał dwa miesiące w Uficych florenckich i dowodzi, że jest znawcą.

— Malicki jeszcze w Zakopanem bawi. Ale słyszeli państwo, mają dawać pojutrze „Maryę Stuart” z Modrzejewską. Dostałem ostatnią łożę. Może pójdziemy?

— I owszem — zgodziła się Magda.

Oryż coś zamruczał — zapewne znowu, że nie jest małpą, żeby się pokazywać w łoży.

— Ale najciekawsza rzecz na końcu! — uśmiechnął się pan Sylwester. — Mam dla pani ukłony od pana Osieckiego.

— Od którego? — zawołała majorowa,

— Juźcić nie od nieboszczyka majora, bo pan Sylwester na ducha nie wygląda! — mruknął Oryż.

— Od pana Filipa. Przyjechał wczoraj wieczorem i kazał powiedzieć, że się wnet do pań zgłosi, gdy sobie locum upatrzy. Spotkałem go na Grodzkiej; wychodził z magazynu z baronową Faustanger.

— Słyszeliście! — ruszyła ramionami majorowa. — Zgłosi się... patrzcie go. Co za fana-berya! Niech mu pan powie, że jeśli nie jestem u niego pierwszą, to żadną Obejdę się bez jego wizyt obowiązkowych.

Pan Sylwester mocno się zdziwił takiemu przyjęciu wieści, którą miał za radosną. Oryż zaczął szydersko się uśmiechać.

— Tegoby też do katechizmu, do szkoły.

— Ależ Maryniu — wtrąciła Magda. — Wczoraj przyjechał załedwie.

— Więc wczoraj powinien był przyjść. Mój dom był jego domem dotychczas. Powinien był z kolei wprost zajechać po klucz od pracowni. Przecie dwa lata utrzymuję ją w całości!

— Ależ on nie zna naszego adresu! — rzekła Magda.

— Twój adres zna każdy dorożkarz. Zresztą to są wykrety. Baronową potrafił znaleźć! Zobaczysz, że on nie nasz!

— Może być — ruszyła ramionami. — Jest już w tym wieku, że opieki twej nie potrzebuje.

— Ja też z nią nie myślę się narzucać. Od jutra nie płacę za pracownię.

— Nie płac, ale się nie gniewaj, bo każdy pozna, że mówi przez ciebie wielka obrażona miłość...

— Wcale się nie zapieram. Wychowałam go dla siebie, a nie dla jakiejś baronowej.

— On też jej za stryjenkę i opiekunkę nie uważa! — zaśmiał się Oryż.

— To jest cudowna kobieta — ozwał się pan Sylwester. — Ale ja się jej boję.

— Nabierz pan odwagi, bo chce zwiedzić pana muzeum i trochę pobałamucić właściciela. Namówiłam ją dzisiaj do tego przy pozowaniu.

— Święty Wojciechu, Strzeż mnie! — zawołał Sylwester z udanym strachem, a w rzeczy samej mile polechtany zajęciem pięknej pani.

— Zjedz trochę belladonny, staruszkę, zjedz — dogadywał Oryż. — Masz strawny żołądek: nie otrujesz się.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Conan Doyle.

Przygody brygadiera Gerarda.

Powieść z czasów napoleońskich.

Bandyta „Uśmiechnięty”.

(Ciąg dalszy).

— Każda ścieżka na południe jest obsadzona, żaden kuryer przez nią się nie przedostanie. Jeżeli Masséna się cofnie, Clausel będzie zgubiony.

— Musi się sam troszczyć o siebie — rzekłem.

— Ilu ma ludzi?

— Około czterdziestu tysięcy mojem zdaniem.

— Ile kawaleryi?

— Brygadę dywizyi Montbruna.

— Które pułki?

— Czwarty szaserów, dziewiąty huzarów i pułk kirasyerów.

— Zgadza się — rzekł zaglądając do notesu.

— Mówisz pan prawdę, ale biada też panu, gdybyś mówił inaczej.

Potem przeszedł całą armię, dywizya za dywizyą i pytał mnie o skład każdej brygady. Nie mam chyba potrzeby mówić wam, panowie, iż pozwoliłbym sobie raczej język wyrwać, niż dawać mu wyjaśnienia tego rodzaju, gdybym nie miał wyższego celu przed oczyma. Niech się dowie o wszystkim, byłem ja uratował armię Clausela!

Wreszcie zamknął notes i schował go do kieszeni.

— Dziękuję panu za te informacye, które jutro otrzyma Wellington — rzekł. — Pan wykonałeś swą czynność przy naszym interesie, teraz kolej na mnie. Jakże pan chcesz umrzeć? Jako żołnierz będziesz pan naturalnie wolał, aby pana rozstrzelano, niektórzy jednak wolą skok z Merodalu jako lżejszą śmierć. Już bardzo poważny zastęp ludzi wybrał sobie taki koniec, ale niestety nie znaleźliśmy się nigdy w takim położeniu, aby żądać od nich sprawozdania. Potem jest jeszcze piła, ale ta nie jest tak popularna. Moglibyśmy także powiesić pana, ale musielibyśmy się udać w tym celu na dół do lasu, a to połączone jest z niewygodą. Ale przyrzeczenie pozostaje przy-

rzeczeniem, a pan wydajesz się być doskonałym chłopcem, to też postaramy się o to, aby najzupełniej zadośćuczynić pańskim życzeniom.

— Powiedziałeś pan — odparłem — iż jeszcze przed północą umrzeć muszę, zaczekam aż do ostatniej chwili przed tym terminem.

— Bardzo dobrze — rzekł. — To czeplanie się życia jest trochę dziecinne, ale zastosujemy się do pańskiego życzenia.

— Co się tyczy sposobu śmierci — odparłem — to chcę mieć zgon taki, ażeby go widział cały świat. Wsadź mnie pan na ten stos drzewa i spal mnie pan żywcem, jak w dawnych czasach palono świętych i męczenników. To nie jest zwyczajny koniec, lecz taki, którego mi i cesarz mógł pozazdrościć.

Ta myśl widocznie mu się podobała.

— Dlaczego nie? — rzekł. — Jeżeli Masséna wysłał pana do nas na szpiegowanie, to rozumie, co ma oznaczać ten ogień na górze.

— Zupełnie słusznie — odparłem. — Odgadłeś pan moje powody. On to zrozumie, a wszyscy będą wiedzieli, że zginąłem śmiercią, godną bohatera.

— Nie mam nic przeciwko temu. — rzekł bandyta z dyabelskim uśmiechem. — Poszlę panu trochę koziny i wina do pańskiej chaty. Słońce zachodzi, niezadługo będzie ósma. Za cztery godziny bądź pan gotów.

Pięknym był ten świat, z którym miałem się pożegnać. Spojrzałem w dół na tę złocistą wstęgę, gdzie ostatnie promienie zachodzącego słońca padały na niebieskie fale Tajo i oświecały białe żagle statków angielskich.

Bardzo pięknym był świat, i przykrem było rozstanie się z nim; ale jest coś, piękniejszego od niego. Śmierć dla innych za honor i obowiązek, za wierność i miłość — to są piękności daleko piękniejsze od tych, które widzimy naszymi oczyma.

Ja sam podziwiałem moje własne szlachetne postępowanie i myślałem o tem, czy kiedyś ktoś się dowie, że wydałem ostatnie tchnienie na stosie, który uratował armię Clausela. Miałem tę nadzieję i modliłem się o to, gdyż coby była za pociecha dla mej matki, co za wzór dla armii, co za duma dla moich huzarów!

Gdy de Pombal wreszcie zjawił się w mej chacie z mięsem i winem, pierwszą rzeczą było, iż poprosiłem go, aby spisał raport o mej śmierci i wysłał go do obozu francuskiego. Nie odpowiedział coprawda nic, ale moją wieczerzę spożyłem z dobrym apetytem, na myśl iż mój sławny zgon nie pozostanie przecież tajemnicą dla świata.

Leżałem w mej chacie ze dwie godziny, gdy drzwi się znów otworzyły i przez nie zajrzał dowódzca. Było już ciemno, ale koło niego stał bandyta z pochodnią, tak, że mogłem widzieć, jak mu się oczy świecą i jak błyszczą jego białe zęby.

— Gotów? — zapytał.

— Jeszcze czas — odparłem.

— Obstajesz pan przy czekaniu do ostatniej chwili?

— Przyrzeczenie jest przyrzeczeniem.

— Dobrze. Niech i tak będzie. Mamy jeszcze między sobą do załatwienia pewien akt sprawiedliwości, gdyż jeden z mych ludzi nie prowadził się porządnie. Posiadamy tę surową zasadę, iż nie zwracamy uwagi na godność osoby, jak to panu może poświadczyć de Pombal. Zwiążcie go i połóżcie potem na stosie, de Pombal, powrócę potem i chcę widzieć, jak będzie umierał.

De Pombal i bandyta z pochodnią weszli do chaty, a wódz ich poszedł sobie. De Pombal zamknął drzwi.

— Pułkownik Gerardzie, możesz pan ufać temu człowiekowi, on należy do mego stronnictwa. Teraz, albo nigdy. Możemy pana jeszcze uratować. Ale przyjmuję na siebie wielkie ryzyko i żądam stanowczego przyrzeczenia. Gdy panu uratujemy życie, czy ręczysz nam pan za to, iż w obozie francuskim przyjmą nas życzliwie i zapomną o całej przeszłości?

— Za to ręczę.

— A ja ufam pańskiemu honorowi. No, prędko, prędko, niema ani chwili do stracenia. Gdy ten potwór przyjdzie, będziemy musieli wszyscy trzej zginąć straszną śmiercią.

Patrzyłem ze zdumieniem, co robi. Wyjął długi sznur, owinął go dokoła zwłok mego towarzysza, a potem zawiązał mu chustę dokoła ust, tak, iż twarzy prawie wcale widać nie było.

— Kładź się pan tutaj — rzekł i położył mnie na miejscu mego kolegi. — Czterech moich zwolenników czeka na dworze i oni to włożą tego niebożczyka na stos.

Otworzył drzwi i wydał rozkaz. Weszło kilku bandytów i wyniosło Duplessisa. Ja sam pozostałem na ziemi, zaniepokojony nadzieją i oczekiwaniem.

Po upływie pięciu minut powrócił de Pombal ze swymi ludźmi.

— Pan już leżysz na stosie. — rzekł. — Chciałbym widzieć tego, któryby twierdził, że to nie pan, a jesteś pan związany i skrupowany, iż nikt się nie może spodziewać, abyś się pan mógł poruszyć lub przemówić. Pozostaje teraz tylko sprzątnąć zwłoki Duplessisa i zrzucić je ze szczytu Merodała.

Dwóch ludzi wzięło mnie za głowę i za nogi i wyniosło sztywnego i bez życia z chaty.

Gdy wydostałem się na dwór, byłbym ze zdumienia głośno krzyknął. Księżyc stał nad stosem, na którym spoczywała postać człowieka, którego zarysy można było poznać w świetle księżyca.

Bandyci znajdowali się częścią w obozie, częścią dokoła stosu, gdyż nikt nie zatrzymywał naszej małej grupki i nikt nie stawiał pytań. De Pombal poprowadził swych ludzi w kierunku przepaści. Nad brzegiem, gdzie nas już widać nie było, mogłem znowu używać mych własnych nóg. De Pombal wskazał na wąską, wijącą się ścieżynę.

— Tędy na dół — rzekł de Pombal, a potem zawołał nagle:

— Dios mio, a to co?

Straszny krzyk przedarł się do nas z lasu. Widziałem, że Pombal drżał, jak spłoszony koń.

— To ten łotr — szepnął — znęca się nad jednym z ludzi, jak się znęcał nademną. — Ale dalej, dalej, gdyż niech Bóg nas ma w swej opiece, gdybyśmy się dostali w jego łapy.

Jeden za drugim zaczęliśmy schodzić ścieżką w dół. U stóp stoku znaleźliśmy się znowu w lesie.

Nagle spostrzegliśmy wielką łunę, a przed nami rozścielały się czarne cienie drzew. Zapalono stos. Z naszego stanowiska mogliśmy jeszcze widzieć nieruchome ciało wśród płomieni i czarne postacie gerylasów, którzy jak ludożercy tańczyli dokoła stosu i podskakiwali.

Podniosłem zaciśniętą pięść ku tym psom piekielnym, a przysiągłem, iż kiedyś z mymi huzarami zrobię z nimi krwawy obrachunek.

De Pombal wiedział, jak rozstawione są warty i znał każdą ścieżkę, prowadzącą przez las. Ale

aby obejść tych łotrów, musieliśmy iść dokoła wzgórz i robić wielkie koła. A jakże chętnie je robiłem, tylko dla tego jednego widoku, którym się napawały oczy moje!

Mogło być około drugiej, gdy na wolniejszym miejscu w lesie przystanęliśmy na chwilę. Gdy się odwróciliśmy, spostrzegliśmy rozpalone zgłiszczające stosu, jak gdyby szczyt Merodału wyrzucił z siebie kupę rozpalonej lawy.

A potem, gdy patrzyłem jeszcze, ujrzałem jeszcze coś — co mnie uradowało niezmiernie. Z zachwytu zacząłem się tarzać po ziemi.

Daleko, na południowym widnokręgu, zabłysło wielkie, żółte światło, potęgowało się, można było widzieć płomienie; to nie płonął dom, to nie było światło gwiazdy, to był ogień sygnałowy z Mont d'Ossa, odpowiedź armii Clausela na znak, który jej dał Stefan Gerard!

A. WILKOŃSKI.

Środek, zakończenie, początek; środek i maleńki dodatek.

Rzecz dzieje się w Jagnięcej woli, we Florencyi i w Angielskim hotelu przy ulicy Wierzbowej w Warszawie. Szkic zostający w otwartej nieprzyjaźni z rzeczywistością a z bujną wyobraźnią mocno spokrewniony; rzucony na papier w chwilach tkliwej zadumy.

W marzeniach serca naszego często kroć za granice rzeczywistości schodzimy.
Wyjątek z lusej głowy chirurga.

ŚRODEK.

W szlacheckiej wiosce Jagnięca Wola pomiędzy dwudziestu gospodarzami był najzasobniejszym Józef Kapusta; siedział bowiem na kmieci rolą, miał 4 konie, 3 pary wołów, wysiewał 15 korcy oziminy i robił do dworu 12 dni w tydzień, dla tego też trzymał dwóch parobków, dwie dziewczki i dwóch średniaków. Z czworga dzieci utracił jednego syna na wojnie, drugiego posyłał do szkoły i wy kierował go na księdza, trzeciego sposobił na pracowitego kmiecia a jedyną córeczkę Marychnę, na całą okolicę najraźniejszą i najkрасniejszą dziewczynę, jak oka w głowie doma strzegł i dzień dnia albo ją sam do organisty na naukę czytania prowadził, albo też z matką posyłał.

Marychna była gibka jak trzcina, biała jak lilia, na buziaku istic róża, a z czarnych oczu jeno się iskry sypały, i jej piękności żadna kobieta we wsi przygany nie dała a parobcy, chociaż mówili, że ma za drobne ręce do roboty, to przecież ani jednego nie było, któryby nie miał żądania pojąć Marychnę za żonę; a i dworscy ludzie i organista smalili do dziewczęcia cholewy, sam nawet pan ekonom, który w Jagnięcej Woli pawał, nie ukrywał się z tem, że mu się statecznie podobała Marychna. Gadali po wsi, że Józef Kapusta wykopał w lesie pieniądze, że widziano, jak raz jednego dwie niecki zapleśniałych talarów na słońcu wysuszał i że prócz tego ma kupę złotych pieniędzy; — ale to wszystko było bajką,

bo cała gotowizna Kapusty składała się rzeczywiście tylko z 300 złp., które chował na wesele Marychny. Przędziwa szmat rozmaitych, żywego dobytku, jako to: źrebców, jałoszek, owiec, ba nawet i pszczoł było w dobrej mierze; ale pieniędzy Kapusta sprawiedliwie nie miał więcej, jak te 300 złp., gdyż wizerunku Chrystusa, w bursztynie wyrobionego, rękojęści od pałasza, który osobiście zdobył na hiszpańskim jenerale, i krzyża na niebieskiej wstążeczce, — jakkolwiek były to niezmiernie dla Józefa bogactwa, — do gotówki brzęczącej nie można było policzyć. Czystość domostwa i cała gospodarka Józefa była na osobliwszy przykład w uściech wszystkich ludzi ze wsi, a i to jeszcze zwiększało poszanowanie Kapusty, że z wszelką kłótnią, jaka się we wsi przytrafiła, od lat wielu chodzili ludzie kwoli rozsądzenia nie do dworu, nie do pana podsędka, ale zawsze do Józefa Kapusty. Tak tedy zacny kmieć zażywał szczęścia i dziękował Bogu za wszystko dobre, — kiedy razu pewnego, strugając na podwórku zęby do brony, usłyszał przy wrotach ujadanie psa Kruczka, a i zaraz spostrzegł przed sobą nieznanego mu wcale parobka.

— Niech będzie pochwalony!...

— Na wieki wieków.

— A do kogoż?

— Do gospodarza Józefa Kapusty.

— A cóż mi powiecie?

— Chciałem od was usłyszeć, czybyście mnie nie przyjęli na służbę?...

— A skądżeś to, chłopcze?

— Jo z tamtej strony Wisły, z Królew-szczyzny.

— I cóż cię tu w nasze strony przygnało?

— U nas smutno pomiędzy lasami, latoś i głód; mój gospodarz zmarł na środopust, od św. Wojciecha obsadzili nowego, bo gdowa nie mogli sobie dać rady; — więc jo poszedł tutaj szukać innej służby; właśnie na wiosnę tędy po żelazo do fabryki jeżdżąc, widziałem Jagnięcą Wolę i udała mi się wasza okolica, a że u was pono nowiejsze gospodarstwo, więc się i do was przepytalem, bo mi ludzie do was raili w tamtej ejno wiosce.

— Jakżeż ci na imię?...

— Jantek Kozik.

— A umiesz ty dobrze orać, — potrafisz kosą?...

— Jo jesce nie wiele orywał, ani tes z kosą nie chodził.

— Takeś wyrósł a roboty nie umiesz? To chyba ci iść do dworu na fornała.

— Nie chce jo za fornała, bo mnie właśnie trzeba na wsi służyć, żebym się wszelkiej roboty nauczył i wolę u was służyć ze strawy, niżeli we dworze za najdroższe myto.

— To ze strawy będziesz służył, a któż ci da przyodziewek?

— Mnie sukman wystarczy na kilka roków, a i mom gotówką 100 talarów po stryju, co byli młynarzem; mnie tam pieniędzy nie żadna nagłość.

— Dobry z ciebie człek, kiedy, mając sto talarów, pracy nauczyć się chcesz. Jeżeli więc okazujesz wolę u mnie służyć, to cię, Antku, i wezmę; ale czy tylko masz kunotatkę od waszego wójta?

— Mom pozwolenstwo na stemplowym papierze.

— A kiedy tak, to i zgoda; a jak będziesz rękę nie lenił, a poduczysz się roboty, najdzie się i zapłata; bo chociaż, chłopaku, masz sto talarów, jednakże ja nie pragnę, abys mi darmo pracował.

— O tem potem, panie gospodarzu! Teraz pokazać mi tylko, jaka jest u was robota.

— Odpocznij sobie do jutra, boś przecie kilka mil zeszedł a i trza ci się w ludziach i we wsi rozpatrzeć. Idź-no do izby i powiedz gospodyni, żeby mi dała okrycie; zaprowadzę cię do sołtysa i do pana gminnego a potem poczęstuję cię,

Antku, półkwatkiem, byś przecie nie mówił, żeśmy cię wodą ze studni do domu przyjęli.

W południe wrócił z Antkiem Kapusta do swojego domu i zapowiedziawszy kobiecie, że Antek w służbie u nich zostanie, kazał mu usieść z inną czeladzią do wspólnej miski. A był na ten dzień galante groch z pęczakiem i szperką i gryczane kluski z kwaśnem mlekiem i zdarny razowiec ze świeżego bochna.

— A cóż to, Antoni! że tak mało jadłeś? — ozwała się gospodyni Agnieszka, — nie smakowałyby ci nasze sandomirskie kluski?...

— Kaj tam nie mają smakować! Tylko, że jo jus takiej natury, że nie wiele jodam, i proszę was, gospodyni, abyście na mnie nie zważali.

— Trudno nie zważać, kiedy mój Maryś więcej od ciebie zjadł, a to przecie dziewucha, nie chłopiec, a tyżeś jeszcze kilka mil dzisiaj ubieżał.

— Nie turbuja się o mnie, już jo z głodu nie zamrę.

— Niech Pan Bóg i Przenajświętsza Matka bronia, żeby kto miał u nas z głodu zamrzeć. Maryś, schowajżeż dla Antka tych klusek, może się z niemi przed wieczorem pogodzi.

Zdziwił się nazajutrz Kapusta, gdy Antka do cepy postawił a chłopiec nawet snopka nasadzić nie umiał, i jak zaczął cepami onacznie machać, tak się też chudziaczek i bijokiem za ucho uderzył i krwią zalany upadł na ziemię; a że był mocno skaleczony, więc go aż trza było do chalupy zanieść i zrobić koło niego opatrzenie.

— Jak żyw jestem na świecie — mówił Wach parobek, — tak jesce nie widziałem, żeby taki człek, jak Jantek, na wsi wyrosły, do tyła cepy w rękę wiaść nie umiał; a toć że mu chyba pierwszy raz młócić.

— Znać go do cepy nie używali, — odrzekł Wojtek, a gospodarz Kapusta kiwnął głową i powiedział, że i on, jak ze żołnierki powrócił, trzy razy jednego dnia sierpem się zarznął.

Ze wszystkich najczęściej była osmuconą Marychna, bo przykładając Antkowi na ranę szmatkę z octem, słyszała, że mu aż serce z bólu pękało.

Upłynęły dwa tygodnie, Jantek już z izby wychodził i przyszło li do tego, że mu kazali sieczki dla koni urznąć; — ale czy kto zły urok rzucił na Jantka, czy Pan Bóg zesłał na chłopca skaranie, dosyć, że ledwo sieczkę rznąć zaczął, zaraz sobie rękę srodze okaleczył, bo bez mała dwóch palców nie stracił.

Gospodarz.

A jużeteś w nieszczęśliwą godzinę do naszej wsi przyszedłeś. Jantku, ty chyba przez życie żadnej roboty nie znałeś?

Gospodyni.

Olo Boga! lo Boga! cos tesz to za nieszczęście! A kajżeż tam i oczy miałeś, na palice kosę zakładać.

Gospodarz.

Chyba trza posłać do owczarza; niechaj żywokostu przyniesie, bożeś ty, chłopcze, aż do kości zakroił.

Marysia (drząc cała z przerażenia).

Kochany rodzicu, owczarz nie pomoże; czy nie lepiejby było, żebyście posłali po felczera do miasta.

Antek.

Przepraszam was, gospodarzu, że wam tyle narobiłem turbacyi; ale, jeżeliście łaskawi, to poślijcie po doktora; ja zapłacę doktorowi i za furmankę.

Gospodarz.

Cóż tam masz płacić, mój chłopcze; kiedy ci się u mnie przytrafiło nieszczęście, to już mój kłopot być musi; — naści oto chleba z pajęczyną, przyłóż tymczasem, a ty, Marysiu, powiedz Wojtkowi, żeby założył siwego konia i tę karą żrebicę i niechaj duchem jedzie po doktora, tylko okryjesz pstruchą siedzenie.

Marysia pobiegła skutecznie rozkaz ojca; Wojtek, długo nie bawiąc, założył konie, pojechał i w kilka godzin przywiózł doktora.

Spodziewać się należy, że doktor Jantka opatrzył i że rodzina pocziwego Kapusty szczerze o Jantku miała staranie, skutkiem czego w ośm dni po tym drugim przypadku Jantek już większego bólu nie czuł a rany się zwolna goiły i właśnie siedział przed domostwem i w głębokim był pogrążony zamyśleniu, kiedy, z ogrodu wracając, zapytała go Marychna:

— Możeby już czas świeże dać przywinięcie; czy dzisiaj boli jeszcze?

— Boli ale już nie ręka.

— A cóż cię boli? czy głowa z dawniejszego?

— Marysiu! nie głowa ale serce mnie boli.

— To pewno ze zmartwienia, że cię taka bieda spotkała.

— Usiądź przy mnie, rozmawiaj ze mną, to mnie i serce boleć przestanie.

— Żeby moje rozmawianie pomódz ci mogło, to żebym cały dzień rozmawiała.

— Marysiu! z pewnością pomoże; tylko oto usiądź przy mnie, a ja ci opowiem jedną historyjkę.

— I czemuż nie!

Marychna pobliżko usiadła a Antek, patrząc się w modre oczy dziewczęcia, tak prawie począł:

— Z tamtej strony Wisły jest jeden bogaty panicz...

— A czy ładny panicz?

— Wystaw sobie, Marysiu, że do mnie podobny...

Marychna się usmiechnęła.

— Otóż ten panicz z młodu był chowany w wielkim mieście i wcale nie znał wiejskiego ludu i dopiero, gdy gdzieś w jakiejś książce czytał, że lud nasz jest pocziwy, że go szanować i kochać należy, zapragnął wtedy z bliska zobażyć te ręce, z których ciężkiej pracy się żywił, zapragnął być pomiędzy ludem, rozpatrzeć się w jego obliczu, zbadać źródło jego przywar i błędów, aby następnie mógł szczęśliwie wpłynąć na polepszenie losu przynajmniej tych rodzin, które pod jego bezpośredniem zwierzchnictwem zostawać będą; — i w tym to celu poszedł pomiędzy lud wiejski, przyjął służbę u jednego z cnotliwych gospodarzy; — ale tam mu się źle powodzi, i do tego jeszcze pokochał śliczną córkę tego gospodarza i teraz wielkiej doznaje przykrości, bo nie wie, czy śliczna dziewczyna jest mu wzajemną, i nawet nie wie, jak sobie począć, aby jej powiedzieć, że on ją kocha, bo, odsłaniając jej swoją miłość, winienby zaraz wyznać, że nie jest chłopem, ale bogatym paniczem, przez co mógłby cały swój zamiar zniweczyć, bo śliczna dziewczyna nie wierzyłaby bogatemu paniczowi. Cóż ty na to powiesz, Marysiu?

— Ja oto naprzód powiem, że was, Antoni, mam za jakiegoś człowieka co nie jest chłopem, bo chłop takby nie potrafił powiedzieć, jak wyście teraz mówili; a co do waszej powiastki to bardzo ciekawa, jak się też zakończy.

— Widzisz, Marysiu, koniec tej powiastki od ślicznej dziewczyny zależy. — Jakżeż ty, Marysiu, radzisz tej ślicznej dziewczynie?

— A cóż ja mam radzić; żeby mnie się taki panicz zalecał, tobym mu powiedziała, że nic nie wskóra, bo dla niego szlachcianki po dworach, a nie wiejskie dziewczuchy.

— Ale uważaj, Marysiu, że ta śliczna dziewczucha nie wie, że to jest bogaty panicz.

— Kaj tam nie ma wiedzieć; zaraz to inny jest obyczaj u takiego panicza; czy wy, Antoni, myślicie, że, jakżeście tylko do nas przyszli, jam nie poznała, że wy nie ze wsi?

— I za kogoż mnie tedy sądzisz?

— Ja was sądzę, albo ja wiem, za kogo; ja tylko wiem, że wy nie ze wsi, i już dawno mówiłam matuli, aby wam lepszego dawała jedzenia.

— A cóż twoja matka powiedziała na to?...

— Matula poszli do tatuli i opowiedziała to, co ja mówiłam.

— A cóż na to powiedział gospodarz, ojciec twój?...

— Długo nic nie powiedział, tylko mu wejźy w oczach stanęły, aże się matula wylękli; i kazał wam dawać jeść, co najlepszego mamy w domu, i mówił, żebyśwa nic do nikogo na wsi nie gadali; i tatulo mówili, że zły człek być nie możecie, bo macie czyste spojrzenie; tylko mówili, że, gdybyście mieli chcieć waszych pieniędzy i sukman, które macie we skrzynce matczynej, aby wam zaraz wydać, nie czekając na tatulę, i żeby wam żadnej nie czynić przeszkody, jakbyście od nas czy na dzień czy w noc odejść chcieli; — a potem poszli tatulo do stryjów i cały wieczór radzili kiele stryjowskiego domostwa.

— Dawnoż to temu, Marysiu, jak twój ojciec kazał mi dawać co najlepszejsze jedzenie?

— Będzie chyba już przez jutro tydzień cały.

— I potem więcej nic o mnie nie mówili?

— Nie słyszałam nic więcej; tylko oto wczorajszej nocy, jak karbowy mocno do okna zastukał, tatulo kazali mamuli, aby do was na stodołę chyżo pobiegli; ale jak się karbowy ozwał, że tylko mają dwójgiem posłać do sierpa, to kazali matuli już do was nie chodzić, jeno mówili, że trza nazajutrz Walka i Jagnę ze sierpami posłać.

— Twój ojciec jest bardzo pocziwy człowiek, może mu potrafię wdzięczność moją okazać; — ale teraz powiedz mi, Marysiu, gdybyś ty była na miejscu tamtej ślicznej dziewczyny, co się to do niej przebrany panicz zalecał, czybyś ty go kochała, żeby on ci powiedział, że bez ciebie żyć nie może?

— No pierwaj, że ja nie śliczna, a potem bym mu powiedziała, że, chociażbym ja go kochała, toby mu się na nic nie przydało, bo ja tylko wiejska dziewczucha.

— Ale żeby on chciał się z tobą ożenić i rodziców twoich prosił o pozwolenie?

— A cóż, czyby rodzice pozwolili, abym ja szła za mąż za takiego człowieka, co nie umie żadnej roboty?

— Wybyście nie potrzebowali pracować, bo ten panicz jest bardzo bogaty.

— Tatulo tam nie potrzebują bogatego zięcia.

— Więc on zostanie ubogim, nauczy się wszelkiej roboty; czy będziesz go wtenczas kochała, Marysiu?...

— Przez żywego Boga! cóż wy, Antoni, gadacie, kogo ja mam kochać?

— Mnie, Marysiu, który ciebie pokochałem nad wszystkie bogactwa na ziemi, nad całe życie moje!

— A któż też to słyszał takie powiadanie! A to żebyście wy mnie kochali, tobyście uprosili kogo na swaty... i zresztą co ja tam gadam. Jeżeli wy, Antoni, jesteście tym bogatym paniczem, to się zlitujcie nademną i nie psujcie mi w głowie; tylko sobie idźcie, skądżeście przyszli; boćże my wam nie chcieli nic złego uczynić...

— Marysiu, ja sprowadzę swatów, — ja będę prosił twoich rodziców, ty musisz być moją do śmierci!

Marysia zarumieniła się po oczy, zakryła twarz fartuszkami i uciekła do chałupy, a Antek pozostał z sercem czystej miłości i dumał, co mu dalej czynić wypada.

ZAKOŃCZENIE.

W trzy lata później młoda, cudnej urody jasnowłosa pani pisała przy palisandrowym stole w jednym z pałaców Florencji.

Najukochańsi rodzice!

Wczoraj odebrałam list pana Osmyckiego przez was dyktowany i po tysiąc razy całuję ręce i nogi wasze za tę rodzicielską pamięć o mnie, jaka się w każdym waszym wyrazie maluje. Ja z łaski Boga wraz z moim mężem zdrową jestem, maleńki Tadzio bardzo nam chorował na zęby, lecz niebezpieczeństwo już przeminęło.

Tęsknię do chwili oglądania was, tęsknię do tej ziemi, na której się urodziłam, tęsknię do wszystkiego, co mi przypomina nasze pola i łąki i będę się zupełnie szczęśliwą mieniła, gdy się znów ujrzę w waszych rodzicielskich objęciach.

Stryjom, księdzu bratu i Walentemu przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienie.

Wasza do śmierci przywiązana córka
Marysia.

Florencja, 15. września 184...

Zwierzchni napis był następujący:

Do rąk

najukochańszego ojca mojego
JÓZEFA KAPUSTY

przez Wiedeń i Kraków.

w Jagnięcej Woli.

POCZĄTEK.

W Angielskim hotelu pod nr. 10 przy ulicy Wierzbowej w Warszawie, dnia 8 maja, roku — co komu do tego — w niebieskim pokoju, przez miejscowego pisarza nazwanym à la rococco, na mahoniowej sofce, w perskim tołubku, leżał Antoni... lat dwudziestu i dwóch i trzech miesięcy młodzieniec, bardzo przystojny i bardzo bogaty, z dobrem sercem, z ukształceniem umysłowym spaczonym, ale nie doszczętnie krzywem, znany z dziwactw i z gwałtowności swojego charakteru; — przy stoliku naprzeciw sofki siedział w poręczowym krześle pan Stanisław... trzydziestu sześciu lat mężczyzna, w skromną ubrany czamarkę.

Antoni.

To jest wszystko marzeniem tylko, ale w życie nigdy nie wejdzie, bo historyzm naszej szlachty jest świetny, a jakimże jest historyzm chłopków?

Stanisław.

Ciężka praca, częsta krzywda i ciche łzy.

Antoni.

Do pracy są stworzeni, a o krzywdzie i łzach, wierz mi, Stasiu, to jest baśń romantyczna; zresztą pokaż mi chociaż jednego chłopca z wyższym, z szlachetniejszym uczuciem.

Stanisław.

Nie wiem, co rozumiesz pod wyrazami „wyższe i szlachetniejsze uczucie”; nasz lud wiejski jest pocciwy, pracowity i szczerze kocha tę ziemię, na której się urodził; a potrzeba żyć pomiędzy nimi, potrzeba ich z bliska poznać, aby ich cnoty, a więc wyższe i szlachetniejsze uczucia ocenić; — i gdybyć w chacie jednego z pocciwych kmieci twoich kilka miesięcy przepędził, założę się z tobą o mój cały majątek, że uszanował i ukochałbyś ten lud wiejski, o którym mówisz z taką lekkomyślnością.

Antoni.

Wiesz co, Stasiu, o majątek nie mogę się zakładać, bo jestem zbyt pewny wygranej; — ale możemy zrobić zakład o sto butelek szampana.

Stanisław.

Czy nie lepiej o sto czerwonych złotych dla nieszczęśliwych?

Antoni.

Zgoda! zakładam się o sto dukatów, że będę przez cały miesiąc pomiędzy tym tyle przez ciebie miłowanym i chwalonym ludem, a zdania mego nie zmienię.

Stanisław.

Ufam, że zmienionego sądu nie zataisz i zakład przyjmuję.

Antoni.

Otóż za tydzień przyjadę do ciebie i w jednej z twoich wiosek, przebrany za parobka, postaram się o służbę u porządniejszego kmiecia. Wiesz, że to będzie zabawne; nawet ciekawy jestem tego wrażenia, jakie na mnie uczyni obcowanie z tymi ludźmi.

Stanisław.

Trzymam cię za słowo i naprzód się cieszę z wygranej.

Dalszą rozmowę przerwał lokaj, przynosząc bilet na krzesło do Rozmaitości. Antoni podniósł się z leżenia i kazał fryzjera zawołać. Stanisław poszedł do jednego ze swoich szkolnych przyjaciół, do Gucia, aby mu uczyniony co dopiero zakład opowiedzieć.

ŚRODEK.

Noc ciepła, czerwcową, wonią kwiatów zappełniała powietrze; spokojna przyroda zdawała się z Bogiem rozmawiać i tylko oddalony turkot młyńskiego koła uroczystą mięszął ciszę, gdy Antoni, mniemany parobek z Jagnięcej Woli, już od godziny opodał wioski stojąc pod krzyżem na rozstajnych drogach, przy świetle księżycy wpatrywał się w wizerunek Chrystusa Pana i wspominał ową treść zakonu: „Kochaj bliźniego twego jak siebie samego” i przywiódł sobie na pamięć, ile to milionów ludzi codziennie te święte powtarza wyrazy i jak wszystkie sprawy ziemskie są w zupełnej sprzeczności z powtarzaniem tych świętych wyrazów; i dusza jego, przenikniona promieniem Boskiej mądrości, uroczystą złożyła przysięgę, że nie tylko słowy, ale czynem, całym życiem swoim, będzie kochał bliźniego swego, jak siebie samego, że umiłuje lud pracowity, że się z nim najściślej w węzłami zjednoczy. W tę chwilę przyleciał po rosie cichy odgłos biegnącego konia i nie zadługo Stanisław na karym wierzchowcu stanął przed czekającym na niego Antonim.

(Dokończenie nastąpi).

Dobry apetyt!

Zdrowy żołądek mamy, a żadnego gnienienia żołądka, żadnych boleści, odkąd używamy przeczyszczających pigułek rabarbarowych Feller'a z marką „Elsapillen”. Mówimy Wam z doświadczenia, spróbujcie takowych także, one regulują stolec, ułatwiają trawienie. 6 pudełek franko 4 K. Wytwórcą jest tylko aptekarz E. V. Feller, w Stubicy, Elsaplatz Nr. 260 Kroacya.

:: HUMORYSTYKA ::

Mądra rada.

Lokator: Panie gospodarzu, w mojem mieszkaniu okna tak kiepsko się zamykają, że wiatr mi włosy rozwiewa — pan musisz temu zaradzić.

Gospodarz: Owszem zaradzę; każ pan jeno włosy swoje ostrzyż, to wiatr panu nie będzie mógł szkodzić.



W tramwaju.

Pewien pijany człowiek wszedł do tramwaju, a usiadłszy koło jednej damy, zachowywał się całkiem spokojnie. Mimo to nie podobało się to tej damie, więc gdy konduktor przyszedł kolektować pieniądze, zerwała się z siedzenia i pyta go:

— Czy pan pozwalasz pijanym ludziom jeździć w tramwaju?

— Nie — odpowiada złośliwie konduktor — ale siedź pani spokojnie, a nikt pani nie zauważy.



Przy kupnie z ogłoszenia.

Dziwna rzecz, dlaczego te meble takie drogie? chociaż słabe!

— Skąd pan wie, że słabe?

— Przecież pisano wyraźnie w ogłoszeniu: „Meble do sprzedania z powodu słabości“.



— Ale moja Małgosiu, nie masz żadnego poloru w sobie. Któż widział wszystko w ręku przynosić? kiedy o co zawołam, trzeba mi podać na talerzu.

Jakoż po obiedzie zawołała Imość o pantofle, a Małgosia je na talerzu przyniosła.



W aptece.

Pomocnik oznajmia aptekarzowi, że w słoiku nie ma opium, więc recepty sporządzić nie może.

Aptekarz: Daj pan zamiast opium, aleosu. Jak chory ma wyzdrowieć, to mu aleos nie zaszkodzi, a jak ma umrzeć, to mu wszystko jedno, co połknie przed śmiercią.



Nowożytny język.

— Panie profesorze, czy to prawda, że pan dajesz sobie radę ze wszystkimi nowożytnymi językami?

— Tak... oprócz dwóch, łaskawa Pani...

— Które to sprawiają panu największą trudność?

— Język mojej żony i jej matki.



U artysty.

— Nie ma jakich listów do mnie?

— Listów to nijakich nie było, ale za to jest zawezwanie do sądu.

— A czy nikt nie był z moich przyjaciół?

— Przyjaciół to nie widziałem, był jeno krawiec z wymysłami, praczka z rachunkiem i kornik z pieczętką.



Na czasie.

— Jaka jest różnica między katarzem a pieniędzmi?

— Nie wiem.

— Katar można łatwo nabyć, a trudno stracić, a z pieniędzmi ma się rzecz odwrotnie.



Niezwykła moneta.

Byłeś Janie po odbiór tych pieniędzy?

— Byłem.

— Dostałeś?

— Dostałem.

— No, przecież choć przed świętami sumienie go ruszyło... No, oddaj!

— Kiedy nie śmiem...

— A coś dostał?

— Dwa razy w gębę i raz w kark.



Z geologii.

— Jakie są najgłębsze pokłady kuli ziemskiej?

— Weksle, bo na wekslach ziemia stoi.



Reklamy.

My nie chcemy być zakatarzeni, zachrypnięci, zaflegmieni, my nie kaszлемy, nie jesteśmy słabi ani nerwowi, gdyż używamy fluidu Feller z marką „Elsafluid“, próbny tuzin 5 koron franko. — Mamy dobry apetyt, zdrowy żołądek, nic nam nie dolega gdyż posiadamy zawsze przeczyszczające pigułki rabarbarowe Feller z marką „Elsapillen“. 6 pudełek franko 5 koron. Dostarcza E. V. Feller w Stubicy, Elsaplatz Nr. 260 Kroacya.



„KUPIEC POLSKI“

największy organ kupiectwa polskiego wychodzi co 1 i 15 każdego miesiąca w Krakowie.

„Kupiec Polski“ : Ogłoszenia

omawia sprawy kupiectwa w „Kupcu Polskim“ najlepiej wszystkich dzielnic polskich. — piej się optacają.

„Kupiec Polski“ : „Kupiec Polski“

obfitością treści przewyższa ma czytelników we wszystkich nawet fachowe pisma nie kich sferach i dzielnicach mieckie. — Polskiej.

Prosimy żądać numerów okazowych.

Prenumerata: w Austrii 2 Kor. kwartalnie, 8 Kor. rocz.

„ w Niemczech 2 Mk. kwartalnie, 8 Mk. rocz.

„ w Rosyi 1 Rub. kwartalnie, 4 Rub. rocznie.

Adres: **Kupiec Polski Kraków Wolska nr. 14.**

„Szkoła“ jest najstarszem pismem pedagogicznym w Galicyi, wychodzi obecnie rok 43.

Porusza najważniejsze zagadnienia pedagogiczne — ma zapewnione współpracownictwo wielu wybitnych pedagogów polskich.

Podaje obszerne informacje o szkolnictwie w całej Polsce oraz zagranicą.

„Praktyka szkolna“ podaje wiele rozpraw dydaktycznych i metodycznych i ułatwia nauczycielstwu orjentację w metodzie nauczania; usuwa wiele trudności jakie każdy nauczyciel zwłaszcza młody napotyka w swej pracy zawodowej.

SZKOŁA

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO, miesięcznik, poświęcony sprawom wychowania wogóle, a szkolnictwu ludowemu w szczególności, wychodzi we Lwowie pod redakcją Komitetu

Do każdego numeru dołącza się „Praktykę szkolną“, przewodnik metodyczny dla nauczycieli.

Przedpłata „Szkoły“ wynosi:

rocznie 8 k. — 3 rb: 50 kop. — 8 marek
półrocznie 4 „ — 1 „ 75 „ — 4 „

Przedpłata „Praktyki szkolnej“ wynosi:

rocznie 4 k. — 1 rb. 75 kop. — 4 marki
półrocznie 2 „ — 90 — 2 „

Adres redakcyi i administracyi:

Galicya, Lwów, ul. Friedrichów 10.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

8

niezmierznie ciekawych

powieści

Tajemnice wielkiego miasta

na tle głośnych wypadków (430 stron)

Złośliwy figiel - Czerwonym szlakiem

na tle dziejów Szertok Holmesa (320 stron)

Róża czarna i róża biała

na tle stosunków amerykańskich (240 stron)

Skarb więźniów - Przygoda greka

Tańczące znaki i Samotna cyklistka.

Wyżej wymienione nadwyraz interesujące powieści

zamiast **13 Kor. 70 hal.**

po wyjątkowem **7 Koron**

wysła franko za poprzedniem nadesłaniem należytości.

„GWIAZDA“

Poznań,

ul. Wilhelmowska nr. 11.

ODRODZENIE

Czasopismo poświęcone sprawom
współdzielczym, przemysłowym
— i gólno-ekonomicznym —

Wydawcą tego

pisma jest „Związek Stowarzyszeń zarobko-
wych i gospodarczych” we Lwowie plac
Smolki 1. 4. działający w porozumieniu
z Komisją krajową dla spraw przemysł-
owych, Ligą pomocy przemysłowej, krajowym
Związkiem przemysłowym i innymi wybitniej-
szymi organizacjami.

Przedpłata z przesyłką pocztową w Austrii
rocznie 12 K, półrocz. 6 K, kwartal. 3 K.

Wychodzi 1., 10. i 20. każdego miesiąca.
Redakcja i adminlstr. Lwów, pl. Smolki 4.

3 Korony

wynosi rocznie z przesyłką
pocztową prenumerata - -

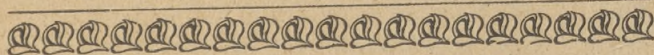
Straż Polskiej.

Straż Polska jest organem stowarzyszenia,
noszącego tę samą nazwę, a ma-
jącego na celu obronę duchowych i materialnych inte-
resów narodu polskiego.

Straż Polska nie służy żadnemu stronnictwu,
jest pismem czysto narodowym.

Do współpracowników **Straży Polskiej** należą:
prof. A. E. Balicki. K. Bartoszewicz. Dr. L. Caro. Dr.
J. Flach. Prof. Dr. Tad. Grabowski. Kazim. Gliński.
Wiktor Gomulicki. Wanda Krzyżanowska. Dr. Kaz.
Lubecki. Prof. M. Magiera. Prof. Czesł. Pieniążek. Dr.
J. Ptaśnik. Dr. Lucyan Rydel. Henryk Sienkiewicz.:
C. Smółski. J.E. Stanisław Tarnowski i t. d.

Adres: **Straż Polska, Kraków, Floryańska 1.**



„Krajowy Kolejarz“

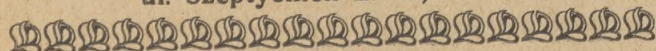
centralny organ galicyjskich kolejarzy, najstarsze
pismo dla kolejarzy polskich wychodzi 15-go
każdego miesiąca, zawiera:

**Fachowe artykuły pisane przez kolejarzy
i kronikę z życia kolejarzkiego**

Przedpłata wynosi rocz. 2 Kor. półrocz. 1 Kor
- - - - - kwartalnie 50 hal.

Przedpłatę przysyłać należy do

Administracji „Krajowego Kolejarza“
ul. Szeptyckich L. 68, Lwów.



NOWO OTWORZONA KAWIARNIA „Casino”

w Krakowie, Rynek gł. I. 12

I-sze piętro.

... Sale bilardowe. ...

Szachy.

Pokoje do gier towarzyskich.

Czytelnia.

Polecając się łaskawym względem P. T.
Publiczności, pozostaję

z głębokim szacunkiem

Ludwik Franczek.

Ważne dla podróżujących!

Osobom przybywającym na czas dłuższy lub krótszy do
Berlina pozwalam sobie polecić **pokoje** wygodnie urzą-
dzone, świeżo odnowione po cenie przystępnej. Dobra
polska usługa, na życzenie całkowite utrzymanie. Ku-
chnia zdrowa i smaczna, dla chorych z zastosowaniem
przepisów lekarza.

Ludwika Biedermann,

Berlin, Dessauerstr. 35, II.

4 minuty od Poczdamskiego placu i Lipskiej ulicy.

Od Administracji.

Wszelkie reklamacje są wolne od
opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czy-
telnikom uwagę na to, iż reklamacje
koniecznie muszą być nadesłane w
otwartej kopercie. Reklamacyi w zam-
kniętych kopertach niefrankowanych nie
przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam
za nie podwójne porto.

„Przewodnik Kółek rolniczych”

czasopismo rolniczo-ekonomiczne ilustrowane

wychodzi trzy razy w miesiącu z datą 1., 10. i 20 w objętości co najmniej 2 arkuszy tekstu.

Każdy numer zbroszutowany w okładce, mieszczącej liczne ogłoszenia.

„Przewodnik zawiera artykuły popularne, opracowane z wszelkich działów gospodarstwa rolnego, objaśnienia ustaw, rady i wskazówki gospodarcze. informacje handlowe. wiadomości o stanie rozwoju stowarzyszeń u nas i za granicą, wogóle omawia sprawy ważne dla każdego rolnika.

Prenumerata całoroczna tylko 3 kor.

Prenumeratę przyjmuje Zarząd główny Tow. Kółek rolniczych we Lwowie, ul. Kopernika 11.

„Nowiny”

:: najpoczytniejszy ::
i najtańszy dziennik
w Galicyi Zachodniej

pod redakcją Ludwika Szczepańskiego
miesięczna prenumerata 1 k. 50 hal.

„Nowiny”

celują szybkością
informacji i obfi-
tością zajmującej
lektury (2 pow.).

Prosimy żądać bezpłatnych
— numerów okazowych. —

Adres: „Nowiny” Kraków Wiślna 2

Dyplomy honorowe:

Na wystawie
Kraków 1901
Karlsbad 1908

Dyplomy honorowe:

Na wystawie
Londyn 1908
Paryż 1908

W. Sznajdrowicz

Kuśnierz

15

36

w Krakowie, Rynek Linia A-B Nr. 45, I. piętro,

Filia: w Krynicy.

Poleca Szan. P. T. Publiczności, swój
obficie i jedynie w towary, doborowe
zaopatrzone Skład i pracownię jako:
Futra dam., Rotundy, Żakietki, Saka,
Peleryny, Boa Garnitury, Futra męskie,
Spacerowe i podróżne, Marynarki, Sur-
duty, Bekiesze i Dohy, Czapki futrzane
oraz wszelkie przybory w zakres ten
wchodzące, oraz wielki wybór, Ser-
daków i Peleryn.

ZAMÓWIENIA

wykonują się z całą starannością, jak również
wszelkie przeróbki oraz pokrycia futer, i w tym
celu magazyn posiada wielki **Wybór materiałów**
z fabryk krajowych, jak również angielskich.

Rozszerzajcie pismo nasze!

Przy zakupach prosi-
my się odwoływać na
ogłoszenia w piśmie
naszem.

Fabryka
pieczęci
kautczukowych

St. Niemczyk

52 KRAKÓW L. 9.
Sukiennice 10. B.

„GŁOS POLSKI”

TYGODNIK NARODOWY DLA PODOLA,
wychodzi w Tarnopolu.

PRENUMERATA KWARTALNA 2 KORONY,
Rok założenia 1904.

Jedyne pismo polskie na Podolu galic.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupezyć w Krakowie.

Inżynier LEONARD NITSCH i Spółka, Kraków, ul. Kolejowa 18

projektują i wykonują:

Wodociągi dla miast, gmin, folwarków, fabryk, ogrodów, gmachów publicznych, domów prywatnych i t. d.

Poszukiwanie i uchwycenie źródeł. — Wiercenie studzien. — Ustawianie pomp. — Instalacje domowe z klozetami, łazienkami i t. d. 47

Centralne ogrzewanie wszelkich systemów i wentylacje. — Łaźnie. Mechaniczne pralnie. Suszarnie i t. d.

Najlepsze referencje z dotychczas wykonanych robót. — Kosztorysy bezpłatnie.

Sandały Kneipowskie

poleca najtaniej

**Bazar krajowy
w Krakowie**

Rynek główny I. 20.

Kilimy krajowe

poleca

:: magazyn bielizny ::

:: konfekcyi męskiej ::

Braci Bilewskich

w Krakowie.

Magazyn i Pracownia sukien męskich MARCINA CZAJI i WŁ. RECHOWICZA

Kraków, ulica Mikołajska L. 24.

poleca na sezon letowy wielki wybór materiałów

modnych, krajowych i oryginalnych angielskich.

Wykończenie artystyczne, ceny przystępne.

K. Zieliński,

— optyk —

Kraków, Rynek, A-B 34

Poleca obficie zaopatrzony magazyn wyrobów optycznych, oraz pracownie, przyjmuje do reperacji maszyny do pisania wszelkich systemów, gramofony i t. p.

Pierwszy zakład bandażo-ortopedyczny HYNKA BOGDANOWICZA

w Krakowie, ul. Floryańska 9 (w podwórku)

poleca w wielkim wyborze i najtaniej:

Pasy rupturowe pachwinowe, nerkowe i brzuszne.

Sznurówki i szelki do prostego trzymania się.

Przyrządy do równania różnic części ciała.

■ Poduszki i irygatory, pończochy gumowe, strzykawki, wate, aparaty inhalacyjne, suspensory i t. p.

■ Pasy higieniczne miesięczne systemu Teuffla.

LAWN - TENNIS,
RAKIETY, PIŁKI,
PIŁKI NOŻNE, 39

Przybory do ryb-
łóstwa.

PERFUMY, MYDŁA

i PUDRY, kraj., franc.
i angielskie

14 polecają najtaniej

REIM i Ska. Kraków

Rynek 37. Linia A. B.

Magazyn mebli

i zakład tapicersko-dekoracyjny

Kajetana Dudziaka

W KRAKOWIE, ul. Floryańska I. 36, I. p.

== Kraków, ulica Zyblikiewicza 9. Telefon 796. ==

MECHANOLECZNICZY

ZAKŁAD ZANDEROWSKI

Lecznica chirurgiczno-ortopedyczna.

Oryginalne aparaty Zandera.

Gimnastyka lecznicza. — Pracownia dla sporządzania gorsetów, sztucznych kończyn, opasek przepuklinowych i t. p. — Leczenie gorącym powietrzem. — Mięsienie. — Elektryzowanie.

Aparat Röntgena. — Sala operacyjna. — Pokoje dla chorych.

Leczenie garbów, skrzywień kręgosłupa i kończyn, chorób stawów i kości, gościca, arytmizmu i t. p.

Zakład otwarty od godz. 9—1 i od 4—6.

Dr. Alfred Merz. Dr. M. Staszewski. Dr. Zygmunt Wachtel.

47

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią
zadowolić tutki cygaretowe

„Framos“

z watą „SALVESOL“

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien
liści morwowych, więc nie dziwnego, że pali się
lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Wła-
sności te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku

13

„WATA SALVESOL“

Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio
mocnych — wskutek swego nader delikatnego
włókna roślinnego. Każdy palący tytoń, chcąc
uniknąć zatrucia nikotyną, powinien palić tylko
w cygarniczkach szklanych z watą „Salvesol“.

Oryginalny pakiecik „Waty Salvesol“ wy-
starcza na 200 do 400 papieros. lub cygar.

1000 sztuk tutek „Framos“ 3 korony. 10 cygarni-
czek 1 kor. 20 hal. Pakiecik waty „Salvesol“
30 lub 60 hal.

44

Zakład przem. wyrob. papierowych „Noris“

Mr. W. Bełdowski, Kraków.

PRZYJACIEL LUDU

ORGAN POLSKIEGO STRONNICTWA LUDOWEGO

redagowany przez pośła Stapińskiego
jest najpoczytniejszem pismem ludowem
(nakład 18 000 epz.).

Wychodzi regularnie raz w tygodniu.
kosztuje:

w Galicji i Austro-Węgrzech 4 korony
do Królestwa Polskiego i Rosji 2 ruble
do cesarstwa niemieckiego 4 marki
do Ameryki, Rumunii, Danii
i innych państw europejskich 5 koron

PRZYJACIEL LUDU

ma największe zaufanie u włościan i dlate-
go ogłaszanie się w „Przyjacielu Ludu“
przysparza pewnych odbiorców.

Cena ogłoszeń według umowy.

Adr. „Przyjaciel Ludu“ Kraków, ul. Krótka 6.